

Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem

Wies

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Rok VI

Łódź, 7 sierpnia 1949 r.

Nr 32 (211)

W NUMERZE

między innymi:

S. Treugutt — Mickiewicz i Puszkina w Muzeum Narodowym
 L. Budrecki — „Mickiewicz” Mieczysława Jastruna
 E. Jagiello-Lyskowa — „Chłopskie Życie Gospodarcze”
 F. Barkow — Struktura rolna ZSRR
 K. Grzybowski — Genealogia zdrady
 R. Bratny, K. Oleksik, T. Kubiak — wiersze
 E. Nizlurski — Na polach elizejskich
 J. Pogan — Ludzie i ludziska (fragm. powieści)
 W. Borkowski — O zagadnieniach teatru świetlicowego
 J. Orski — Rozważania pokładowe
 G. Tomala, J. Bieki, E. Mądrowa — uwagi

Aleksander Litwin

„KRYZYS BRYTYJSKI”

Wzajemne przeciwieństwa imperializmów amerykańskiego i angielskiego, skrywane dotychczas przez polityków obu stron, ukazały się ostatnio w pełnym świetle. Stają się oczywiste dla każdego laika, że Stany Zjednoczone, w obliczu kryzysu ekonomicznego, usiłują wyprzeć Wielką Brytanię z dalszych zajmowanych przez nią pozycji na świecie. Wielka Brytania natomiast zadróźnie strażę swej pozycji mocarstwa imperialistycznego i nie chce się rzec zmonopolizowanych przez siebie rynków.

Przeciwieństwa anglo-amerykańskie posiadają swą długą historię. W wyniku pierwszej wojny światowej Stany Zjednoczone stały się — jak wyraził się Lenin — lichwiarzem świata. Rozwinęły wówczas szeroko swą politykę ekspansji kapitałów i wpływów. Konflikt anglo-amerykański wysunął się na czoło przeciwieństw międzyimperialistycznych. Zbieżność przeciwieństw w Europie i na Pacyfiku (Anglia — Niemcy, Ameryka — Japonia i in.), — szczególnie zaś agresywność niemieckiego imperializmu — przesunęły czasowo to przeciwieństwo na dalszy plan. Z tym większą siłą wypłynęło po ostatniej wojnie. Wojna bowiem: po pierwsze — usunęła najbardziej agresywnych konkurentów — Niemcy i Japonię, po wtóre — rozwarła dysproporcje wzajemne między Stanami Zjednoczonymi a Wielką Brytanią. USA stały się najpotężniejszym państwem świata kapitalistycznego i faktycznym jego hegemonem.

Oto kilka cyfr: Produkcja przemysłowa Stanów Zjednoczonych wynosi obecnie blisko 2/3 całej produkcji świata kapitalistycznego. Zapas złota w USA, który w r. 1920 równał się kwocie niespełna 5 miliardów dolarów, podniósł się w końcu 1948 roku do

24 miliardów. Eksport wzrósł w czasie wojny siedmiokrotnie.

Równocześnie osłabła poważnie pozycja Wielkiej Brytanii. Przemysł jej przekroczył wprawdzie przedwojenny poziom produkcji, ale jest wciąż nieznacznie wyższy od poziomu 1913 r. Inwestowane za granicą kapitały brytyjskie zmniejszyły się z kwoty 3.692 milionów funtów w 1938 r. do 1.118 milionów funtów w 1945 r. Udział Wielkiej Brytanii w handlu światowym spadł z 10,1 proc. w 1938 r. do 6,9 proc. w 1945 r. — mimo odpadnięcia wielkich eksporterów — Niemiec i Japonii. Udział floty w tonażu światowym spadł z 26 proc. w 1939 r. do 18,2 proc. w 1947 r.; jest on obecnie mniejszy niż w 1913 r. i wynosi zaledwie 2/3 tonażu floty amerykańskiej. A przecież flota stanowiła zawsze dumę i źródło siły W. Brytanii. Jeszcze bardziej osłabły potęgę finansową Wielkiej Brytanii oraz jej stanowisko polityczne na kontynentach świata. Stany Zjednoczone wyparły ją i wypierają nadal z czołowych stanowisk; z innych przegania ją ruch narodowo-wyzwoleńczy.

Kapitał brytyjski zmuszony jest uznać prymat USA. Dobrowolnie podporządkował mu się w wielu dziedzinach. Pozwolił mu nawet narzucić kuratelę finansową i polityczną nad wieloma swymi koloniami i półkoloniami. Ale nie pozwala się zepchnąć do pozycji 49-go stanu i desperacko broni swego stanowiska światowego imperium. Zmuszony jest jednakże niejednokrotnie szukać w imperializmie amerykańskim oparcia przeciwko ruchowi rewolucyjnemu; nie czuje się bowiem na siłach samodzielnie mu przeciwstawić. Ten sojusz klasowy, a z drugiej strony — poważny kryzys finansowy imperium brytyjskiego — zmusza je do wielu daleko idących ustępstw.

SPRZECZNOŚCI AMERYKAŃSKIEJ KONIUNKTURY

Błąka się wciąż, kolportowana również w Polsce, opinia, jakoby imperializm USA wyszedł z wojny wzmocniony. Twierdzenie to stanowczo nie odpowiada prawdzie. Stany Zjednoczone wyszły wprawdzie z wojny wzmocnione gospodarczo i militarnie. Ale wszystkie podstawowe sprzeczności imperializmu poważnie się zaostrzyły i mocno podważały jego siły i trwałość.

Produkcja Stanów Zjednoczonych wzrosła w czasie wojny o 130 proc., ale zdolność produkcyjna przemysłu wzrosła jedynie o 30 proc. Kapitał amerykański uruchomił jedynie w toku wojny olbrzymie rezerwy siły produkcyjnej, których nie był w stanie eksploatować w okresie pokoju. Proszę zważyć, że w latach 1930/38 potencjał przemysłowy Stanów Zjednoczonych był wykorzystywany jedynie w 26—28 proc. (licząc produkcję na 2 zmiany).

Nierównomiernie wzrosła jednakże zdolność produkcyjna poszczególnych gałęzi przemysłu. Tak np. ilość obrabiarek metalowych wzrosła z 830 tys. do 1,5 miliona (w liczbach okrągłych). Zdolność produkcyjna przemysłu stocznikowego i lotniczego wzrosła 3—4 krotnie. Narosły w ten sposób dysproporcje, których kapitalizm nie jest w stanie usunąć i pokonać: między zdolnością wytwórczą przemysłu a chłonnością rynku, między możliwościami inwestycyjnymi a zapotrzebowaniem gospodarki, między rezerwami produkcji a zdolnością konsumpcyjną mas i możliwościami eksportowymi. Zaostrzyły się wraz z tym przeciwieństwa między wielkim kapitałem monopolistycznym a klasą robotniczą, między wielkim kapitałem a ka-

pitalem drobnym i średnim, między kapitalizmem USA a jego zewnętrznymi konkurentami i krajami odeń zależnymi.

Stąd wahadłowość stosunków wewnętrznych, stąd nieustannie, zleniawia i ostro powtarzające się objawy krachu i kryzysu (jak np. na jasiu 1947 r., w lutym i maju 1948 r.), stąd ostatni kryzys.

Na jesieni rozpoczął się w Stanach Zjednoczonych nowy kryzys ekonomiczny. Jego przebieg w ciągu kilku ostatnich miesięcy ujawnia ostrość wewnętrznych przeciwieństw kapitalizmu amerykańskiego. Wskaźnik produkcji spadł np. ze 199 w październiku 1948 r. do 179 w maju 1949 r. Ale produkcja przemysłu włókienniczego spadła w ciągu roku o 30 proc., wytop stał o 22 proc., wydobycie węgla koksującego o 50 proc., a bezrobocie sięga już 6 milionów plus 11 milionów częściowo bezrobotnych. Przeciętne tygodniowe zatrudnienie robotnika wynosi jedynie 38,8 godzin. Dochód narodowy spadł w ciągu roku o 9 miliardów dolarów, hurtowe zaś zapasy towarów osiągnęły wartość 32 miliardów dolarów, a więc nieznany w historii Stanów Zjednoczonych poziom.

Stąd walka o rynki — wewnętrzny i zewnętrzny.

Kapitał amerykański usiłuje w tej sytuacji wyjść z trudności następującymi drogami:

- 1) przez obniżenie poziomu życia klasy robotniczej i równoczesne spętowanie eksploatacji jej siły roboczej;
- 2) przez finansowanie maszyną inflacyjną zbrojeń, podtrzymujących „konunkturę”;
- 3) przez wzmocnienie eksportu surowców, gotowych wyrobów i kapitału;
- 4) kosztem zależnych od siebie krajów i drogą podboju nowych rynków.

„KRYZYS BRYTYJSKI”

Objawy kryzysu imperium brytyjskiego ujawniły się już w gruncie rzeczy w końcu ubiegłego stulecia. Pierwsza wojna światowa zaostrzyła ten kryzys do takiego stopnia, iż stał się on przysłowiowy i charakterystyczny dla imperializmu okresu ogólnego kryzysu kapitalizmu. Druga wojna światowa kryzys ten jeszcze bardziej pogłębiła i osłabiła imperium brytyjskie.

Anglia straciła swoje pozycje na Pacyfiku. Osłabły jej pozycje w Azji. Dominia uniezależniają się coraz bardziej, a narody kolonialne wzięły broń do ręki. Anglia straciła swą pozycję bankiera świata, a tym bardziej „fabryki świata” — o których pisał niegdyś Marks. Wynikiem tego jest, w dziedzinie gospodarczej, finansowa zależność od kapitału amerykańskiego i zależność jej ekonomiki od... eksportu.

Trudności kapitalizmu brytyjskiego wynikają — rzecz jasna — z jego pasożytniczego charakteru. I jeśli szanowny mister Cripps triumfalnie zapowiadał likwidację tych trudności, mieliśmy prawo zapytać: a czy rząd Labour Party jest w mocy, w ramach kapitalizmu, znieść jego pasożytniczy charakter?

Charakterystyczne — pasożytniczy charakter tego imperium kolonialnego spowodował niedorozwój rolnictwa i przemysłu rolnego. Produkcja własna pszenicy zaspakaja jedynie 18 proc. spożycia Anglii, produkcja słoniny — 33 proc., produkcja tłuszczów i masła — 10 proc. Rząd Labour Party triumfalnie ogłosił swój „plan” podniesienia produkcji rolnej o 50 proc., ale w ubiegłym tygodniu zakomunikował, że... plan wykonany nie będzie. Rząd Attlee ogranicza przy tym import ze Stanów Zjednoczonych artykułów masowej konsumpcji, ale import amerykańskich towarów luksusowych nadal wzrasta. Pasożytniczy charakter gospodarki W. Brytanii, jej monopol spowodował (szczególnie w okresie karteli i trustów) zastój w rozwoju przemysłu, jego zacofanie techniczne i organizacyjne. Nawet Erik Jonston — przewodniczący amerykańskich izb handlowych — widzi, że „monopol był największym przekleństwem przemysłu brytyjskiego”. „Cały przemysł brytyjski — twierdzi — jest zarażony mikro-bem zastoju”.

Słabość ekonomiki brytyjskiej znajduje swój wyraz w nieustannych kryzysach. W pierwszym półroczu 1947 r. — wybuchł kryzys węglowy, latem tegoż roku kryzys finansowy, zimą 1947/48 — kryzys aprowizacyjny, a od jesieni 1948 trwa znów kryzys finansowy. Dziwnym zbiegiem rzeczy kryzys systemu finansowego stał się po wojnie najbardziej jaskrawym wyrazem słabości kapitalizmu angielskiego.

Roman Bratny

TOWARZYSZ

I

Z okna mej celi
widać ziemię.
Kocham ziemię, jak pilot.

Straciłem wiele wiar
— wiele umierać musi w człowieku
za życia.

Widać mały kawałek chodnika
i pień ulicznego drzewka.
Wierzę, że tam przyjdzie, że tam stanie

Widać kawałek chodnika — świeżą kałużę,
w niej jest niebo prawdziwe.
Wierzę, że tam będzie, że stanie
— towarzysz.

II

Wierzę,
choć stąd nic nie widzę.
Przenieśli mnie do innej celi
— a wczoraj wysłany gryps:

napisałem, że jeśli towarzysz
przejdzie ulicą, dotknie drzewka
to znaczy — wygrałem, zgubił trop,
nie zabiją naszego zwycięstwa.

Ach jak kocham ziemię
— widzę stąd zieloną kopułę drzewka tylko.
Kocham ziemię jak spadochrony,
na których skacze załoga
kochać musi samotny
w płonącym samolocie pilot.

Z okna widać tylko drzewka szczyt.

Tam on jest. Stoi.

Walczymy. Wiem — wierzę.

Patrz! Na gałęzi najwyższej widocznej z celi mojej
ptak śpiewa.

On tam — przeszedł koło drzewka,
ręką dotknął kory.
Liście do tej pory
drżą, ptak śpiewa.

Camerado!

III

Pozdrawiam was, tego więźnia towarzysze,
— to mówię ja, tłumacz,
który odróżnia świetnie swoich poległych towarzyszy ciszę
w gwarze wolnego życia, w wolnych gwarach tłumie.

Najpiękniejsze uderzenie serca — to w piersi towarzysza,
który wrócił pod kulami, gdy ratunku nie miał znikąd.
O serca potężne jak gołębniki,
w których szum skrzydeł słychać!

Kocham was, hiszpańskiego komunisty towarzysze bez twarzy.
Znam upojenie,
Gdy do rannego żywy w potraconej kulami marynarce
przyłatywał, pożegnany wzrokiem już beznadziejnie
— rozwiane postrzelane poły, jak skrzydła potracane wiatrem —
towarzysz, towarzysz, towarzysz!

Oto wprost z hiszpańskiego na polski tłumaczenie.
Nie znam języka ale jednak
bije serce — jak wysoko u ptaków —
u wszystkich ludzi, którzy walczą o wyzwolenie.

Oto słowa, które zna tyle cudzoziemskich słów
ale jak usta w twarzy
ono nam wierne aż po grób
wszędzie: camerado — towarzysz!

Oto kilka charakterystycznych cyfr: deficyt bilansu płatniczego wyniósł w 1946 r. — 380 milionów funtów, w 1947 r. — 675 milionów funtów, w 1948 r. (po długiej i zaciętej walce o eksport) — 423 miliony funtów, a w pierwszym półroczu bieżącego roku — 239 milionów funtów. W wyniku tego rezerwy złota i dolarów spadły z 680 milionów funtów w 1947 r. — do 381 mil. funtów w końcu czerwca bieżącego roku. Są więc o blisko 100 milionów niższe od dopuszczalnego dla bloku szterlingowego minimum.

Deficyt bilansu płatniczego Wielkiej Brytanii wynika z 3 głównych przyczyn:

1) z deficytowości jej handlu zagranicznego, a szczególnie z deficytowości handlu z „blokiem dolarowym”, 2) z olbrzymiego spadku tzw. niewidocznych dochodów, 3) z wydatków wynikających z imperialistycznego charakteru polityki brytyjskiej.

Saldo ujemne bilansu handlowego Wielkiej Brytanii wyniosło w r. 1948 — 432 miliony funtów i w pierwszym półroczu bieżącego roku nie zmniejszyło się, a raczej zdradza tendencję wzrostu. Eksport bowiem w II kwartale br. spadł o 7 proc. w porównaniu z pierwszym kwartałem, w czerwcu zaś spadł w porównaniu z majem ze 161 milionów funtów do 143 milionów funtów. W tym okresie jednakże import wzrósł ze 194,8 do 201,7 milionów funtów.

Ten deficyt bilansu handlowego wynika głównie z obrotów z zachodnią półkulą. Tak np. deficyt handlu z kontynentem amerykańskim wyniósł w 1948 r. okragło 2,5 miliarda dolarów. Wywóz angielski do Stanów Zjednoczonych wyniósł przeciętnie miesięcznie w r. 1948 5,7 miliona funtów, w maju zaś bieżącego roku zaledwie 3,6 miliona funtów. W tym czasie Wielka Brytania importowała z kontynentu amerykańskiego 2/5 swojego importu, eksportowała zaś 1/6 swojego eksportu. Rzecz charakterystyczna, że w obrotach z krajami niemarshallowskimi Wielka Brytania posiada saldo dodatnie.

Trudności Wielkiej Brytanii pogłębia spadek tzw. niewidocznych dochodów. Spadły dochody z transportów morskich. Spadły dochody z inwestowanych za granicą kapitałów. Oto ciekawy przykład.

Kapitały brytyjskie w południowej Ameryce wynosiły w 1931 r. 1.200 milionów funtów, w roku zaś 1948 wyniosły już zaledwie 632,8 miliona funtów. Spadły więc poniżej poziomu 1931 r. Ale równocześnie 39,8 proc. tych kapitałów nie przynosi w ogóle żadnego dochodu, a pozostałe kapitały przynoszą zaledwie 2,9 proc. w stosunku rocznym. Kapitał amerykański bowiem zajął najbardziej dochodowe pozycje.

Polityka imperialistyczna Wielkiej Brytanii powiększa jeszcze jej trudności finansowe — szczególnie zbrojenia, wojny kolonialne,

ne, polityka antykomunistyczna itd. Wydatki na armię są 2,5 raza większe niż przed wojną. Utrzymanie wojsk za granicami państwa kosztuje powyżej 300 milionów funtów rocznie. W wyniku tej „imperialnej” polityki dług Wielkiej Brytanii jest większy od jej majątku narodowego i wynosił w 1948 r. 27 miliardów funtów. Odsetki i raty roczne wyniosły w 1938 r. — 223 miliony funtów, w roku zaś 1947 już — 545 milionów funtów.

JAK WYBRNĄĆ Z TRUDNOŚCI?

Jakie drogi wyjścia z obecnych trudności proponuje minister Cripps? Zamierza on — po pierwsze — ograniczyć import ze strefy dolarowej i podnieść eksport ze strefy szterlingowej do strefy dolarowej; po wtóre — zamierza zamrozić lub obniżyć płace robotników angielskich i wymusić zwiększenie wydajności ich pracy, aby w ten sposób „podnieść konkurencyjność” wyrobów przemysłu brytyjskiego kosztem klasy robotniczej; po trzecie — proponuje rozszerzyć wymianę wzajemną w ramach bloku szterlingowego; po czwarte wreszcie — prosi Amerykę... o dalszą pomoc. Tyle minister Cripps. Mocodawcy jego i, oczywiście, „sojuszniczy” rząd pana Attlee, proponują nadto rozszerzyć eksploatację Afryki.

Plan ten jest, rzecz jasna, nierealny. Ani klasa robotnicza nie pozwoli obniżyć swojej poziomu życiowego bez ciężkich bojów klasowych, ani Ameryka nie pozwoli zwiększyć importu; stosunki z krajami bloku szterlingowego raczej się rozluźniają (odpadły przecież Irlandia, Kanada i Połud. Afryka), a Indie i ludy afrykańskie są coraz mniej skłonne poddawać się bezkarnie wyzyskowi. Ameryka zaś, jeśli pomocy udzieli, to jedynie na bardzo korzystnych dla siebie warunkach.

Panika i bezradność sfer finansowych i rządowych znajduje swe odbicie na tamach prasy.

„Właściwie nie ma sposobu znalezienia wyjścia z obecnej tragicznej sytuacji gospodarczej” — pisze prasa konserwatywna. „Cripps odsonił wprawdzie tragiczną sytuację W. Brytanii, nie przedstawił jednak dostatecznych środków walki przeciwko takiemu stanowi rzeczy”.

„Wszystko wskazuje na to — pisze „Financial Times” — że drenaż dolarowy będzie nadal wzrastał. W tych warunkach oczekiwano, iż rząd stwierdzi z całą stanowczością niezbyt fakt istnienia kryzysu narodowego”. (Tak pisze organ City). „Kryzys brytyjski — dodaje — jest zagadnieniem zbyt poważnym, aby stosować wobec niego strusią politykę”.

„Kryzys brytyjski — pisze francuska prawnicowa „Aurore” — jest również kryzysem europejskim, a nawet światowym. Kryzys

ten można rozwiązać jedynie na płaszczyźnie światowej. Jeśli Ameryka będzie nadal pragnęła panować nad Europą pod względem gospodarczym i walutowym, trzeba, by Europejczycy zorganizowali się między sobą i utworzyli wspólny front przeciwko ekspansji dolara”. „Europa zachodnia nie zamieni się nigdy w Amerykę Południową w stosunkach ze Stanami Zjednoczonymi. Życzyć sobie należy, aby Waszyngton to zrozumiał. Jeśli nie — Europa zachodnia ulegnie rozkładowi”.

Prasa światowa wskazuje przy tym (ze łzami w oczach) na przyczyny kryzysu. Wiele poważnych, nawet konserwatywnych pism wytyka „pomoc marshallowską”, jako główną przyczynę obecnych trudności.

„Pomoc marshallowska — pisze „Daily Telegraph” — zawiodła oczekiwania. Po roku działalności E.R.P. świat dotknięty został kryzysem, na który nie należało lekarstwa. Najbliższe tygodnie będą ciężką próbą dla zachodnich mężów stanu”.

W tej sytuacji zgłosiła swą ponowną „pomoc” Wall Street.

Minister Snyder, minister skarbu USA, w imieniu swych mocodawców zażądał: (a) nie zapropionować!

1) dewaluacji funta — co równa się rozbić bloku szterlingowego i osłabieniu międzynarodowej pozycji funta,

2) stworzenia dolarowego funduszu stabilizacyjnego i związania funta z walutami europejskimi — tzn. całkowitego uzależnienia funta od dolara,

3) zezwolenia na szeroką lokatę kapitałów amerykańskich w metropolii brytyjskiej; o. znacza to w gruncie rzeczy zgodę na wykup przemysłu brytyjskiego przez magnatów amerykańskich,

4) zezwolenia na szerokie inwestycje kapitałów amerykańskich w koloniach brytyjskich, w ramach trumanowskiego planu „pomocy krajom zacofanym” — a to znaczy przekształcenie kolonialnego imperium brytyjskiego w kolonialne imperium amerykańskie.

Tyle minister Snyder. Żądania, jak widzimy skromne. Imperializm amerykański, wykorzystując obecne trudności Anglii, pragnie jedynie „całkowicie podporządkować sobie imperium brytyjskie”.

Oczywiście żądania te napotykały na poważny opór wielu grup kapitału brytyjskiego. Ale opinia tego kapitału bynajmniej nie jest jednolita. Niektóre grupy chętnie zgodziłyby się na obniżenie poziomu życia robotników brytyjskich drogą dewaluacji funta, choć nie chętnieby przy tym, aby funt stracił swe (stosunkowo ograniczone) stanowisko międzynarodowe. Inne grupy chętnie widziałyby kapitały amerykańskie inwestowane

wane zarówno w metropolii jak i w koloniach. Kapitałiści obawiliby się na tym setnie. Bardziej defetystyczni politycy — zarówno spośród konserwatystów, jak i laburzystów — nie widzą zresztą możliwości dogotowania oporu — z powodu słabości imperializmu brytyjskiego. Nie widzą możliwości powstrzymania nadchodzącego kryzysu ekonomicznego a szczególnie kryzysu finansowego. Wobec wzrostu ruchów rewolucyjnych na świecie, Wielka Brytania nie widzi żadnych możliwości stabilizacji kapitalizmu bez oparcia się o imperializm amerykański, o jego potencjał militarny i finansowy. Stąd wewnętrzne rozdarcie. Jedni wzywają do oporu, drudzy do kompromisu. Oportunistą Cripps, który ponoć stanowczo bronił pozycji funta, bloku szterlingowego i „honoru” imperium brytyjskiego, wyjechał na „urlop”, a kierownictwo ministerstwem objął bardziej skłonny do kompromisu — minister Attlee.

Jakkolwiek się sprawa rozwine w najbliższej przyszłości, jedno jest w chwili obecnej oczywiste: przeciwieństwa anglo-amerykańskie wysunęły się na czoło przeciwieństw świata kapitalistycznego. Ich ostrość wynika zarówno z przesłanek historycznych, jak i z aktualnego układu sił między tymi dwoma czołowymi imperializmami. Sprzeczności tych nie usuną, bo usunąć nie mogą, żadne chwilowe kompromisy — oczywiście kosztem pozycji imperium brytyjskiego i ludu brytyjskiego. W ramach kapitalizmu sprzeczności tych usunąć się nie da. Droga rozwiązania proponowana przez burżuazyjnych polityków, doprowadzić może jedynie do likwidacji imperium i uczynienia z Wielkiej Brytanii 49-go stanu amerykańskiego, jak proponują czołowi przedstawiciele Stanów Zjednoczonych i co propaguje minister Churchill. Ale na to nie pójdzie kapitał brytyjski — w każdym bądź razie w najbliższym okresie. Na to zresztą nie zgodzi się lud brytyjski, brytyjska klasa robotnicza, która coraz wyraźniej widzi cele i owoce planu Marshalla.

Oderwanie Wielkiej Brytanii od dolara i nawiązanie współpracy ze Związkiem Radzieckim i krajami ludowej demokracji mogłoby bezsprzecznie wzmocnić pozycję Wielkiej Brytanii wobec dolarowego „sojusznika”. Ale na to wyrazić swej zgody nie chcą krótkowzroczni przewodnicy kapitału angielskiego — (i, oczywiście, Labour Party); podporządkowują bowiem sprawę kraju swoim interesom klasowym. Kontynuowanie zaś polityki zależności od dolara, w obliczu narastającego kryzysu, przyczynić się może jedynie do dalszego pogłębiania „kryzysu brytyjskiego”. Takie też są najbliższe perspektywy.

„Jęksander Litwin

Stefan Treugutt

Jakiego Mickiewicza znamy?

Mickiewicz i Puszkina w Muzeum Narodowym

Ważnym elementem w serii imprez mickiewiczowskich tego roku jest wystawa ku czci autora „Pana Tadeusza” w salach Muzeum Narodowego w Warszawie. Przed oceną społeczno-kulturalnej doniosłości wystawy warszawskiej koniecznym jest pozbliżyć chociażby przegląd wystawionych ekspozycji i ich układu.

Podstawą układu jest chronologia życia Mickiewicza. Poszczególne więc części wystawy przedstawiają materiały dotyczące miejsc pobytu poety, środowisk ludzkich, z którymi się stykał, faktów życiowych i etapów twórczości. Kończąca część wystawy obrazuje losy pośmiertne twórczości poety, historyczny obraz dzieł jego poetyckiej i wiedzy o nim. Układ taki jest najprostszy i daje możliwości całego szeregu efektownych i ciekawych zestawień historycznych.

Zgodnie z zasadą chronologiczną widzimy najpierw „Nowogródzkie i lata dziecięce”. Imponuje tu, jak zresztą w całej wystawie, staranny dobór i ilość materiału ilustracyjnego. Współczesne Mickiewiczowi litografie, rysunki, gźlenielędzkie fotografie, dają doskonałe pojęcie o kolorystyce miejscowym — (za bardzo trafne trzeba uważać np. ukazanie przy petersburskim epizodzie życia poety serii scen rodzajowych z ówczesnej stolicy imperium carów, czy też współczesnych charakterów politycznych i rysunków w dziele dotyczącym roli Mickiewicza w r. 1848). W sali pierwszej mogą nas zainteresować ciekawe dokumenty, jak oryginał świadectwa gimnazjalnego młodego Mickiewicza lub gabloty „Zróżdka ludowe twórczości A. Mickiewicza”. Ale już tu daje się odczuć poważne niedociągnięcie organizacji wystawy: brak komentarza. Brak ten raz już bardzo poważnie w sali następnej, poświęconej uniwersyteckim czasom twórcom „Pleśni Filaretów”. Oryginalne i bardzo pouczające jest umieszczenie w oddzielnej gablocie czasopiśm ówczesnych, ale chociażby „Wiadomościom Brukowym”, tak dzielnie walczącym z mrokami przesądów, należałoby się jakaś maleńka wzmianka informująca! Chyba że sens tej gabloty ma przemówić tylko do widza z poważnym już przygotowaniem historyczno-literackim? A przecież wystawa powinna być przygotowana dla widza, któremu nie wystarczy karteczka „Przyjaciele” przy podobiznach Zana, Czeczota czy Malewskiego. Wystawę zwiedzają ludzie, którym trzeba by coś powiedzieć o tym, kto to byli Filomaci i Filareci, jakie mieli cele, za co ich prześladowano. A każdemu już przydałoby się przypomnienie, jakie były ich związki z polskim

Wystawa „Mickiewicz - Puszkina” w specjalnych autobusach ruszyła w objazd po kraju kierując się przede wszystkim na wsie i miasteczka całej Polski.

i rosyjskim ruchem rewolucyjnym. Tego rodzaju braki uderzają co chwila. Niezwykle pouczająca jest gablotka z „lekturą młodego Mickiewicza”, ale trudno wymagać od przeciętnego widza, by znał uzone przyczynki do „byronizmu i skotyzmu w romantyzmie polskim” i wiedział, co znaczy ta lub owa pozycja w lekturze wileńskiego studenta.

Półowa sali, w której znajduje się wspomniana, a godna pochwały gablotka z lekturą, zajęta jest przez wspominki o Maryli. Tu organizatorzy nie mogli oprzeć się tradycji, pokazali co mogli, romansowe i „przechowywane przez całe życie” medaliony, sztambuchy... Nie ukazali jednak społecznej podszewki całej sprawy, nie odpowiedzieli na narzucające się pytanie: a dlaczego to nauczyciel kowieński Mickiewicz nie ożenił się po prostu z jasnie wielomową panną Wereszczakówną?

Mniejsza o Marylę — dosyć już o niej na chwałę polskiej filologii naplotkowano.

W sali piątej z kolei mieści się duży i starannie zgromadzony zbiór materiałów dotyczących się pobytu poety w Rosji. Trafnie i wszechstronnie potraktowane zostały stosunki Mickiewicza z postępowymi kołami pisarzy i inteligencji rosyjskiej. Materiał obfity, prawda, ale nie zawsze przystępny — nie idzie tu już nawet o historyczno-społeczny komentarz, ale o wyjaśnienia rzeczowe: zatrzymujemy się, widzu, przy tej lub owej recenzji ówczesnych publikacji Mickiewicza, a tu brak nazwy pisma i autora. To już są zasadnicze niedopatrzenia! To samo wrażenie budzą ciekawe, często zupełnie niemal nieznanne portrety Mickiewicza, przy których nie podano takich chociażby wiadomości, że autor nieznany, a pochodzący stąd i stąd.

Monotonne pasmo gablot przerywa wykres ilustrujący podróże Mickiewicza. Niestety jedyny. Strona graficzna wystawy potraktowana została po macoszemu. A szkoda. Należyte jej uwzględnienie ożywiłoby znakomicie wystawę — dalałoby możliwość ukazania Mickiewicza w społecznych perspektywach. Planse dające historie wydań, popularyzacji Mickiewicza, zasługuje i ilości tłumaczeń, próba bodaj jakiejś statystyki z biblioteki w dużym mieście, czy właśnie z biblioteki gminnej — tego nam zupełnie nie pokazano,

Pisałem już o obfitości materiału, jaki daje wystawa w Muzeum Narodowym. Chwalętnie odznaczają się nią sale poświęcone pierwszemu okresowi emigracyjnemu, okresowi „Dziadów części III” i „Pana Tadeusza”. Zgromadzono tu pierwowzory, ikonografie, szeroko potraktowano środowisko. Przy wejściu do części wystawy mieszczącej się na piętrze wita zwiedzających najcenniejszy zabytek wystawy — oryginał rękopisu „Pana Tadeusza”! Ale napróżno byś pytał, czy autograf ten, będący jak wiadomo własnością „Ossolineum”, jest jedynym, co się stało z innymi, w jakim stosunku pozostaje do ostatecznej redakcji poprawnej? Materiał rękopiśmienny, obficie na wystawie reprezentowany, konspirować się dokładnie, nie ma żadnych wskazówek skąd pochodzi, czy został zniszczony, gdy zastępuje się go fotograficzną odbitką itp.

Poważnym plusem wystawy jest ukazanie Mickiewicza w okresie Wiosny Ludów na szerokim tle ówczesnego ruchu postępowego w Europie. Organiczne związki między socjalizmem utopijnym a Mickiewiczem, dalej ewolucja tego ostatniego w okresie „Trybuny Ludów” — (tu zrozumiałym staje się przedstawienie twórców naukowego socjalizmu, Marksa i Engelsa i polskich wydań „Manifestu komunistycznego”) — zagadnienie to ciekawe niezwykle i trudne, prawda, lecz szkoda, że poza ukazaniem go, nie pokusili się organizatorzy o próbę wyjaśnienia.

W sali poświęconej ostatniemu okresowi życia poety udało się organizatorom wystawy utrzymać umiar i nie przeciążając drabizgami oddać patos śmierci Mickiewicza na posterunku.

Wydatki dzieł Mickiewicza ukazujące się po śmierci poety, zebrane obficie, ułożone zostały chronologicznie. Tu właśnie dotkliwie daje się odczuć brak współpracy grafika. „Pan Tadeusz”, „Pan Tadeusz” i jeszcze raz „Pan Tadeusz” — mrucał jakiś żołnierz zwiedzający ze mną wystawę. Jeszcze mniej strawną jest sala „Wiedza o Mickiewiczach” mimo ciekawego materiału i bardzo oryginalnej gabloty „Poeci Mickiewiczowi”. Wystawa mająca popularyzować nie może nużyć, nawet gdyby miała zrezygnować z „do-

kumentarności” na rzecz społecznie pojętej informacji.

Zarzut, tu przytoczony można by pomnożyć o cały szereg braków organizacyjnych (brak wskaźników kierunkowych, odpowiednich druków informujących itp.), należy jednak przypuszczać, iż w trakcie trwania wystawy zostaną one usunięte. Wszystkie te, poważne nawet niedociągnięcia, nie dyskwalifikują bynajmniej wystawy warszawskiej. Zgromadziła ona imponujący materiał, podkreśliła trafnie szereg zagadnień często dotychczas usuwanych w cień, lub przedstawianych fałszywie przez burżuazyjną naukę o Mickiewiczach. Trzeba tu z uznaniem podkreślić szerokie potraktowanie związków Mickiewicza z postępowymi kołami Rosji, związków Mickiewicza i jego twórczości ze światem słowiańskim (imponująca ilość „mickiewiczianów” pochodzących z ZSRR) — dalej, ukazanie Mickiewicza publicysty, Mickiewicza polityka o skryształizowanej postępowej ideologii. Brak czynnika informacyjnego, wyjaśniającego, zwięzły niestety zakres oddziaływania społecznego wystawy.

Obok wystawy Mickiewiczowskiej urządzono w jednej sali wystawę drugiemu „jubilatowi” — wielkiemu poecie rosyjskiemu, przyjacielowi Mickiewicza, Aleksandrowi Puszkiniowi.

Wystawa ta miała w założeniu charakter informacyjny, toteż uniknęła szczęśliwie błędów wystawy mickiewiczowskiej. Starannie dobrany materiał ilustracyjny i książkowy zaopatrzony był w proste, ale dobrze przygotowane komentarze. Życie i koleje twórczości Puszkina ukazane zostały na tle rewolucyjnego w Rosji w okresie młodości poety, w latach dojrzałych — na tle dusznej atmosfery carskiego dworu, która go zadławiła. Słusznie był akcentowany związek „dekabrystów” z ruchami wyzwoleniczymi w Polsce.

Następnie, w wielkim skrócie ukazano nam kult Puszkina wśród narodów ZSRR i, co nas dotyczy bezpośrednio, dzieje popularności wielkiego poety Słowiańszczyzny w Polsce. Organizatorom wystawy puszkiniowskiej udało się zgromadzić wszystkie dochowane przekłady poety na język polski, oraz całą polską „puszkinologię”. Pokażnie wyglądają osiągnięcia nasze w okresie ostatnich lat, o ile chodzi o ilość przekładów z Puszkina i o szerzenie znajomości jego utworów w Polsce Ludowej. W szlachetnej rywalizacji z ZSRR stoimy jednak daleko w tyle — ilość edycji Mickiewicza rośnie tam bardzo szybko.

Lech Budrecki

„Mickiewicz” Mieczysława Jastruna^{*)}

I

Jury nagrody „Odrodzenia”, przyznając zaszczytne wyróżnienie książce Mieczysława Jastruna „Mickiewicz”, nazwało ją „powieścią biograficzną”. Ta diagnoza gatunkowa na pierwszy rzut oka wydaje się co najmniej paradoksalna, ale powtórna już lektura przekona nas o słuszności takiej klasyfikacji. Można by dodać co najwyżej, że stojmy wobec specjalnego rodzaju dzieła beletrystycznego, w potocznym jego rozumieniu, jakim jest powieść biograficzna. „Dlaczego jednak nie traktujemy pracy tej jako monografii?” — zapytać może czytelnik, sądząc, że popełniamy w ten sposób karygodny błąd. Czy niedostateczność dokumentacji skłania nas ku temu? Z całą pewnością nie. To sprawa historyków, którzy powinni, moim zdaniem, wypowiedzieć się w tej materii, traktując książkę Jastruna nawet jako dzieło historyczne, co niewątpliwie ułatwiłoby krytykowi zadanie, polegające na wykryciu stopnia, w jakim „Mickiewicz” jest powieścią. Jest nią bowiem z przyczyn zupełnie różnych, jest nią mimo tego, że autor urywa w pewnych miejscach wyjaśnienia, tłumacząc się brakiem świadectw, pozwalających pisarzowi na rozwikłanie przyczyn czyjegoś postępowania, czyichś zachowań. Wystarczy wziąć do ręki jeden z najgłośniejszych rozdziałów książki: „Weimar anno 1829”, by przekonać się o słuszności powtarzanej przeze mnie oceny Jury gatunku tego dzieła o wielkim polskim poecie. Rozdział wypełnia w znacznej części zapis myśli Goethego, jego monolog wewnętrzny. Tego nie mógł podać historyk, tu objawiło się pióro powieściopisarza. Nie ma danych do stwierdzenia, co myślał wówczas Goethe, czy wspominał Marienbad, czy Marię Szymanowską, czy miłości młodzieńcze. To nie jest zarzut, to tylko jedno z licznych potwierdzeń powieściowego charakteru książki Jastruna. Potwierdzeń tych można i trzeba podać więcej. Opis jednego z zebrań dekabrystów, w którym uczestniczył Mickiewicz, kończy autor w taki sposób: „Ktoś podchodzi do okna, wygląda na ulicę z przestrachem. Zasuwa ją zasłony. Ucisza się. Świece w lichtarzach mają długie sope, w pokoju jest duszno od dymu tytoniowego”. Tych zdań nie napisalby historyk. Wykraczają one bowiem poza nasze dane empiryczne o tych zebrań. Tu mówi już prozaik, świadomy swoich środków, nieograniczony tymi zastrzeżeniami, które by nakazywały biografowi o ambicjach czysto naukowych wyrzucić znaczną część opisu, ponieważ ich zgodności z rzeczywistością nie mógłby sprawdzić. Nie ludźmy się. Jesteśmy całkowicie na gruncie utworu literackiego. Liczne niezaktualizowane monologi chociażby w rozdziale „Uczta u Januszkiewicza” niewątpliwie staną się dalszym przykładem potwierdzającym coraz pełniej naszą tezę.

Niemniej jednak wyjaśniliśmy dotąd jeszcze bardzo mało. Skoro mówimy, że powieść, powiedzmy jakiego typu. Wspominaliśmy bowiem na wstępie, że powieść to szczególna. Powtarzać, że mamy w tym wypadku do czynienia z beletrystyką historyczną, z rodzajem biograficznym, byłoby zwyczajnym truizmem. Ale nie zapominajmy, że powieść biograficzna tego właśnie typu posiada pewne cechy zgoda niepokojące. Oczywiście tylko na pierwszy rzut oka. Wszelkie postacie fikcyjne zostały z niej usunięte, co zresztą nie powinno nikogo dziwić, znamy bowiem kanony tego gatunku beletrystyki, ale co więcej, pisarz odwołuje się ustawicznie do pamiętników i do listów, nie ufając, jeśli wolno użyć tu metafory, swemu prozaickiemu rzemiosłu i chcąc sięgnąć po laury historyka. Jest to jednak w danym wypadku charakterystyczny chwyt prozaika, który rezygnując z wszechwiedzy odwołuje się do głosu świadków, konstruując na tej podstawie jakiś hipotetyczny i bardzo ostrożny komentarz, albo też w ogóle rezygnując z wypowiedzi od siebie i poprzestając na ukazaniu postaci w szeregu świadectw, co jest bezwzględnie odpowiedzialnym owej znamiennej tezy teoriiopoznawczej o załamaniu się w różnych sposób tych samych wydarzeń w różnych świadomościach ludzkich.

Najbardziej jednak szokującym miejscem w całej powieści dla zwykłego czytelnika są te fragmenty, w których mamy do czynienia z krytyką literacką nieomal.

Czytamy oceny wierszy Mickiewicza, interpretacje nowatorstwa jego poetyki, jego języka poetyckiego, uwagi o wierszach Bohdana Zaleskiego. I tu właśnie czujemy, że książka stanowi jakiś magiczny aliaz. Odczucie to jest niestety bardzo zawodne. W powieści bowiem, w dziełach dla tego gatunku specyficznych, spotykamy aż nazbyt wiele urywków z nieopublikowanych nigdzie szkiców estetycznych. To wcale nie równa się amorfizmowi, nie stanowi także mankamentu książki. Sięgnijmy tylko do Balzaca, ileż tam znajdziemy uwag o malarzach włoskich w dobie renesansu, o pejzażystach holenderskich XVII wieku. W „Straconych złudzeniach” znajdziemy cały felieton conajmniej dotyczący krytyki literackiej, w „Kuzynie Pons” — długie rozważania o wartości mebli artystycznych, w „Kawalerskim gospodarstwie” odkryjemy niewątpliwie jakiś skrócony wykład teorii sztuki.

Z całym więc spokojem możemy przystąpić do rozważania książki Mieczysława Jastruna jako dzieła sztuki literackiej określonego rodzaju, nie zgadzając się z autorem, który w zamieszczonym na końcu posłowi pisze o własnym utworze, że stanowi on „połączenie essay'u literackiego z opowieścią dokumentarną”. Twórcy przecież myślał się często w ocenie własnych dzieł.

II

Powieść biograficzna doczekała się w wieku XX niezwyklego wprost rozwoju. 20 lat przerwy pomiędzy dwu wielkimi wojnami wypełnia publikacja takich właśnie utworów i to we wszystkich niemal krajach Europy. Mamy we Francji głośne, osławione aż do przesady powieści Maurisa, mamy książkę Brauda o Robespierre, mamy debiuty wielu drugorzędnych prozaików uprawiających ten właśnie gatunek beletrystyki, natykamy się wreszcie na Roberta Gravesa, piszącego o dziejach cesarza Klaudiusza, na „la vie romancée” Fouchego, Marii Antoniny, których autorem jest Stefan Zweig, na idealistyczną koncepcję dziejów stworzonych przez wielkich samotników, wykładaną w grubych tomach Emila Ludwiga. Literatura Związku Radzieckiego w tych samych latach tworzy w tej dziedzinie dzieła przełamujące dotychczasowe konwencje powieści biograficznych. Myślę tu o „Piotrze I” Aleksieja Tołstoja, o „Puszczyń” Jerzego Tynianowa, i o powieściach Sergiusza Sergiewa Cienskiego. Na gruncie polskim beletrystyka tego rodzaju, niezbyt obficie reprezentowana, legitymowała się „Słowackim” Wołoszynowskiego i książkami Paradowskiego o Oskarze Wilde.

Powieść Mieczysława Jastruna stanowi więc tu wydarzenie niebywałe. W książkach Andrzeja Maurois, cieszących się dużym uznaniem w Polsce, otrzymywaliśmy klasyczną biografię przygód duszy „wielkiego człowieka”. „Słowacki” Wołoszynowski był właśnie polskim przedstawicielem tej prozy, gdzie to wszystkie wydarzenia tłumaczono starannie strukturą psychiczną poszczególnych ludzi. Mieliśmy literackie odpowiedniki idealistycznego historiozawstwa, widzącego w tajemnicach psychiki ludzkiej klucz do rozumienia przebiegu dziejów. W specyfice psychicznej Byrona, w urazach przez niego doznanych, leżały zdaniem tych pisarzy przyczyny jego buntu; w niezwyklej indywidualności Napoleona szukać należało genezy marszu armii francuskiej poprzez całą Europę. Książka Mieczysława Jastruna stanowi próbę przełamania tych wszystkich konwencji artystycznych, za którymi kryła się ideologia zachodnio-europejskiej burżuazji, w odpowiedni sposób zmodyfikowana na gruncie polskim, gdzie otrzymywaliśmy charakterystyczne dla spóźnionego mieszczaństwa wizerunki wielkich ludzi odbrazowane i spreparowane w myśl filozofii klas średnich, drobnych fabrykantów i sklepikarzy, wielkie poczynania narodowej hagiografii, zamiast poetów i powieściopisarzy w gorliwych kleryków i nacjonalistów. Próba Mieczysława Jastruna, trzeba to powiedzieć otwarcie, udała się. A w jakim stopniu, to już sprawa dalszych rozważań.

III

Mickiewicz kocha się w Maryli. Przebieg jego miłości nabiera w dziele Jastruna cech bardzo specyficznych. Nie

dlatego tylko, że romans rozбивa się o różnice klasowe, nie z tej racji jedynie, że pomiędzy Puttkamerem a drobnym szlachcicem istnieje jakiś wyraźny przedział społeczny. Sam typ miłości, miłości romantycznej, zagadnienie, mówiąc w skrócie, werteryzmu, ukazane zostało jako zjawisko historycznie uwarunkowane. Nowy styl życia tworzony przez burżuazję i adaptowany przez polską średnią szlachtę wymaga tego właśnie. Cała postać Maryli Wereszczakówny staje się w ujęciu pisarza dziejami dostosowywania się przedstawicielki pewnej określonej grupy społecznej do nowej obyczajowości, idącej z Zachodu. A jeśli przypomnimy sobie, co tak świetnie zobaczył Jastrun, początki narodzić się polskiego mieszczaństwa i związki jego z drobną szlachtą, wskazując na małżeństwo „mistrza” Towiańskiego z córką fabrykanta powozów, rozumiemy wówczas, że przemiana struktury społecznej Polski, narazie nikła jeszcze, powodowała powstanie nowego stylu życia.

Narodziny tej obyczajowości na Zachodzie ukazuje prozaik pisząc chociażby o młodym hrabim von Hardenberg, poecie znanym pod pseudonimem Novalis. Pośród powieści, gdzie różne rodzaje miłości tłumaczy się charakterem, odrębną strukturą psychiczną — podobne obalenie konwencji, powiązanie pewnego typu zachowań z przemianami obyczajowymi, tłumaczenie ich sytuacją jakiejś klasy społecznej, stanowi zdecydowane zerwanie z kanonami powieści burżuazyjnej ostatnich 20 lat, a ściślej burżuazyjnej powieści biograficznej, która chciała tłumaczyć fakty naturą poszczególnych ludzi. Nie wiem, czy w powojennej beletrystyce polskiej znajdziemy tak bardzo odbiegające od podstawowych rygorów poetyki psychologiczmu rozwiązaniu konfliktu erotycznego.

Mickiewicz w twórczości swej przechodzi ewolucję, wiąże się z romantyzmem. Jastrun wskazuje, co to miało znaczyć, ujawnia nam charakter społeczny romantyzmu, choć jedynie romantyzmu zachodnio-europejskiego, traktując literaturę jako wynik pewnych ewolucji społecznych, ba, klasowych. Tego nie ukazał ani Paradowski w „Królu życia”, ani Wołoszynowski w „Słowackim”. Tu widać coraz wyraźniej jak powieść Jastruna zbliża się ku nowej literaturze, to jest ku tej twórczości artystycznej, u podstaw której leży ideologia służąca interesom proletariatu.

Żaden z pisarzy mieszczańskich 20-lecia, autorów rozlicznych „vie romancée” nie potrafił rozwiązać w ten sposób problemu twórczości artystycznej. Byron w książce Maurois pisał, bo miał pewne przeżycia. Ta sama sprawa z Shelley'em. Ich typ duchowy był różny. Inaczej więc reagowali na podobne nawet sytuacje, inna była ich twórczość.

IV

Adam Mickiewicz w powieści Jastruna jest niezrozumiały dla Goethego. Twórca „Fausta” nie interesuje się tym zmuszonym do emigracji poetą, mówiącym stale o wolności swego narodu. Victor Hugo znajduje dla Mickiewicza tylko konwencjonalne powitanie. Balzaca nie ciekawi on wcale. Autor „Pana Tadeusza” jest jakby odcięty od życia Niemiec i Francji. Znajduje dla krajów tych w swych początkowych artykułach jedynie słowa potępienia. Skąd to wyobcowanie wielu ludzi z emigracji polskiej w społeczeństwie francuskim, skąd drwina, z jaką witają pisarzy paryscy koncepcję Towiańskiego?

Jastrun przedstawił tu dramat ludzi przeniesionych z kraju o strukturze feudalnej do państwa triumfującej burżuazji, nie darmo widzącej w rządach Ludwika Filipa swoje własne rządy. Drobną zaściankową szlachtą znajduje się na marginesie Francji owych lat. Nie ma tu możliwości porozumienia między mieszczańską sławą — Victorem Hugo a synem Mikołaja Mickiewicza, adwokata nowogrodzkiego, pełnym tradycji kraju wielkich dóbr ziemskich, zajązdowną i osławioną wojen między magnatami. Do Paryża przybyli ludzie nie tylko z odległych ziem, ale z minionej epoki, z egzotycznej niejako formacji kulturalnej. I tu znów u podstaw obojętności Goethego, zdawkowej grzeczności Victora Hugo, izolacji Mickiewicza od intelektualnych środowisk mieszczańskich, niechęci do salonów bankierów, staje problem rozwoju społecznego.



Mieczysław Jastrun

Francja ma już rozwinięty kapitalizm. A w Polsce, w Rosji pojawia się on dopiero w swych nieśmiałych początkach. Mickiewicz w Paryżu przestaje być człowiekiem żyjącym z małej posiadłości ziemskiej, utrzymuje się z pióra, z profesury, przechodzi na pozycję tzw. inteligencji. Ten proces społecznej deklaszacji części przynajmniej polskich emigrantów, proces uchwyciony przez Jastruna na przykładzie Mickiewicza, to jeszcze jeden przykład nieoczekiwanego sukcesu świetnego poety na terenie prozy, któremu udało się stworzyć na gruncie polskim specjalne i osamotnione dzieło w szeregu innych powieści biograficznych, wskazujące pomimo to linie dalszego rozwoju tego gatunku beletrystyki.

V

Mickiewicz w Rosji trafia do salonów arystokracji. Jest przyjmowany u hrabiego Witta, u ks. Wiaziemskiego, u książąt Wołkońskich. Tu znów uchwyciono drogę awansu społecznego jaki otwierał rozgłos literacki. Drobnym szlachcicem nie trafilby tutaj, gdyby nie był tak sławnym poetą. Ale komentarz Jastruna w tym miejscu zawodzi. Tłumaczy wydarzenia jakimiś racjami psychologicznymi, tak samo zresztą zawodzi kunszt autora „Mickiewicza” przy ukazywaniu roli i funkcji społecznej ruchu dekabrystów. Dekabryści w powieści Jastruna walczą o wolność. Jaka wolność, dla kogo? Nie wiadomo. Przez cały czas pobytu Mickiewicza w Rosji pisarz prezentuje nam społeczeństwo tego kraju jako z jednej strony zbiór szlachetnych wrogów cara i despotyzmu, z drugiej zaś Aleksandra I i Mikołaja I nie widząc jednak antagonizmu między nimi. To już oznaka załamania, a mówiąc metaforycznie ślad oporu przezwytyczanych konwencji artystycznych ciążących jeszcze nad twórcą. Tak też miłości Mickiewicza w Rosji stają się objawem, zdaniem autora, pewnych dyspozycji psychicznych, przeżyć, pewnego stanu duchowego.

Nowa literatura, nowe konwencje artystyczne nie rodzą się od razu, nie osiągają z miejsca kształtu postulowanego niejednokrotnie przez krytykę. Spotykamy często dzieła powstające na przełomie dwóch nowych typów czy to poezji czy prozy, dzieła pełne wewnętrznych sprzeczności, jakgdyby pisane przez dwu różnych i skłóconych ze sobą autorów. Książki te zazwyczaj wyznaczają kierunek dalszemu rozwojowi twórczości artystycznej w danej dziedzinie, patronują dziełom wolnym już zazwyczaj (przynajmniej w znacznie większym stopniu) od wahań i niepowodzeń, które są udziałem pisarza torującego drogę rodzajowi literackiemu. Takim właśnie pisarzem jest dzisiaj Mieczysław Jastrun jako autor „Mickiewicza”.

*) Mieczysław Jastrun, Mickiewicz, PIW, 1949.

Eugenia Jagiełło-Lysiowa

„CHŁOPSKIE ŻYCIE GOSPODARCZE”

GENEZA SPOŁECZNA PISMA

U podstaw założenia „Chłopskiego Życia Gospodarczego” leżały dwie koncepcje: jedna — zawodowa, reprezentowana przez Zarząd Łódzkiego Związku Młodzieży Wiejskiej, druga — polityczna, wyrosła na tzw. grupie poznańsko-łódzkiej. Koncepcja pierwsza była chronologicznie wcześniejsza. Powstanie jej należy wiązać z żywymi w Ł.Z.M.W. tradycjami prac zawodowo-gospodarczych i z osobistymi kwalifikacjami zawodowymi niektórych członków Zarządu Wojewódzkiego.

Wydanie pisma było kilkakrotnie tematem rozważań na zebraniach Zarządu Ł. Z. M. W., a w r. 1934 Walny Zjazd Delegatów woj. łódzkiego powziął uchwałę wydawania pisma, które miało być fachowym pismem rolników oraz gospodarczym uzupełnieniem tygodnika „Wici”. Zarząd Ł.Z.M.W. przeprowadził na ten temat rozmowy z Zarządem Głównym Zw. Mł. W. R. P. „Wici” oraz z redakcją „Wici”. Zarówno Zarząd Główny jak i redakcja „Wici” odniosła się do projektu z uznaniem. Uznano to było tu stwierdzeniem, że obok „Wici” może wychodzić w ramach Związku agrarystyczne pismo gospodarcze. Sfera zagadnień społeczno-politycznych była nie podlegająca dyskusji domową „Wici”. O zwróceniu się przeciwko agraryzmowi nie mogło być jeszcze wtedy mowy.

Projekt wydania pisma gospodarczego w Ł.Z.M.W. nie został jednak zrealizowany na skutek różnorodnych przyczyn, przede wszystkim jednak na skutek braku osób, które by mogły pismo redagować.

Druga koncepcja pisma, „polityczna”, powstała we wspomnianej już grupie poznańsko-łódzkiej. Dla zobrazowania społecznej genezy tej koncepcji musimy przedstawić bliżej społeczne warunki formowania się grupy poznańsko-łódzkiej. Jak wiadomo Łódź do wojny 1939—45 nie była miastem uniwersyteckim. Z tego też powodu duża grupa młodzieży chłopskiej pochodzącej z okręgu łódzkiego znalazła się na studiach wyższych w Poznaniu. Dlaczego właśnie w Poznaniu? Jednym z czynników, być może najważniejszym, była bliskość tego miasta zważywszy, że woj. łódzkie, z którego pochodziła większość osób omawianej grupy, było do r. 1938 administracyjnie bliższe Poznaniu.

W dalszym etapie, po wykształceniu się grupy poznańsko-łódzkiej, studiowanie „Łódzian” w Poznaniu stało się na pewien okres czasu instytucją dla młodzieży wiejskiej okręgu łódzkiego. Duży procent młodzieży studiującej w Poznaniu miał za sobą tradycje pracy w „Wiciach”, w niższych ogniwach organizacyjnych. Dla przykładu podam życiorys jednego z członków grupy, życiorys typowy dla tego okresu wśród grup przewodniczących Związku. Stefan Ignar urodził się w r. 1908, a więc miał dwadzieścia lat, gdy powstał Związek Wiciowy. Nie był samoukiem jak np. Niecko, lecz chodził do szkoły powszechnej w swej rodzinnej wsi w pow. łęczyckim, później zaś uczył się w szkole średniej w Łodzi i jak większość uczących się dzieci chłopskich z okręgu łódzkiego wyjechał na studia do Poznania.

Z takich ludzi w większości składa się grupa poznańska. Świadomość chłopska towarzyszy im w czasie studiów. W niedziele i święta wyjeżdżają do rodzinnych wsi i powiatów, by podzielić się swą wiedzą z tymi, którzy zostali na wsi. Biorą udział w różnorodnych kursach wiciowych i imprezach, wnoszą się po szczeblach organizacyjnego awansu w Wiciach. Z czasem niektórzy z nich wchodzi do władz Związku Wiciowego w Łodzi.

Łączność między macierzystym terenem, „Wiciami” a grupą studentów w Poznaniu była tak silna, że dla Ł.Z.M.W. grupa ta stała się z czasem jego „ekspozytura” na Poznań i w świadomości działaczy związkowych w Łodzi występowała jako „nasze środowisko akademickie”. Do „łódzkiego” środowiska akademickiego przylączyła się nieliczna grupa poznaniaków, w opinii swego własnego środowiska napiętnowana.

SPOŁECZNY IDEAL POLSKI LUDOWY W „CHŁOPSKIM ŻYCIU GOSPOD.”

„Polską dotychczas gospodarzył każdy, tylko nie jej prawowity gospodarz — chłop. Od niego dopiero i przez niego może się zrodzić naprawdę twórcza metoda pracy w Polsce”. Chłop ma być twórcą przyszłej Polski Ludowej. Jaki chłop, bogaty czy biedny? Agraryzm wiciowy mówi, że „podstawą przyszłego ustroju agrarnego... winien być samodzielny warsztat rolny, prowadzony własnymi siłami przez posiadacza i jego członków rodziny”, czyli, że dopuszcza się istnienie bogatych gospodarstw chłopskich; komornicy i drobni rolnicy mają skorzystać z wywłaszczenia obszarów dworskich.

Uderza fakt, że deklaracje agrarystyczne w Wiciach nie wspominają nigdzie o istnieniu wielkich, nieraz dorównujących dworom (np. w Poznańskim) gospodarstw chłopskich i o możliwościach ich parcelacji.

Dominiuje w agraryzmie chłopski solidaryzm warstwowy, traktowanie wsi chłopskiej jako jednej, nieodróżnianej ekonomicznie, solidarniejszej całości. Wiedza chłopska jako całość złożona zarówno z małopolskich

biedaków jak i z wielkopolskich „kułaków” budować ma agrarystyczną Polskę Ludową.

W jaki sposób miała powstać chłopska Polska Ludowa? Narodzić się ona miała „nie poprzez gwałt i knucie spisków, ale poprzez rozwijanie (w ruchu chłopskim) wszystkich sił twórczych i usprawnienia do zbiorowego zorganizowanego działania”. To nie była droga rewolucji chłopskiej, to było pokojowe wrastanie agraryzmu w kapitalizm. Rozwój agraryzmu, jak twierdził „Wici”, uwarunkowany był w pierwszym rzędzie przez świadomość polityczną i społeczną działających w ruchu ludowym jednostek. Aby przebudować Polskę, trzeba było wprzód przebudować duszę chłopską.

Nie więc dziwnego, że ruch wiciowy, podkreślający bardzo często, że jest ruchem wychowawczym, miał na względzie w pierwszym rzędzie wychowanie młodego pokolenia chłopów w świadomości chłpskości.

Ideą chłopskiej Polski Ludowej przeniknięty jest głęboko ogólnoludzkimi ideałami moralnymi. „Chłopskie pojmowanie organizacji życia społecznego polega na równości, braterstwie i na społecznym stanowieniu praw obowiązujących całą społeczność. W chłopskiej organizacji życia społecznego nie może być miejsca na wcielenie w życie hasła walki o byt i prawa do zwycięstw silniejszych nad słabszymi... Nie przekreślając zasady jednostkowego władania nakreślone zostają granice, poza które to wladanie nie będzie mogło przekroczyć — by nie spowodować wyzysku ludzi uczciwych poprzez ludzi chciwych, chytłych i żądnych życia w próżniactwie i rozkoszach. W chłopskiej organizacji życia społecznego głównym celem będzie rozwój życia powszechności ludzkiej ku ideałom najwyższego dobra, piękna i sprawiedliwości... Najwyższym dobrem w państwie — będzie dobro człowieka i społeczeństwa...”. „W dążeniu do przebudowy ustroju społecznego warstwa chłopska musi iść solidarnie z całym światem pracy, a szczególnie z warstwą robotniczą, zorganizowaną na zasadach pokrewnych idei przewodniej agraryzmu”.

Przodującym czynnikiem w przebudowie ustroju jest warstwa chłopska. Jakże są te „pokrewnie” agraryzmowi „zasady” klasy robotniczej? Zwraca uwagę fakt, że nie wymieniono tu słowa socjalizm. Agraryzm uważany był w „Wiciach” za ideę, która wypracowała masę, uwzględnioną w socjalizmie odcinek wsi. Robotnicy porzucili walkę klas i rewolucyjny punkt widzenia na przebudowę ustroju mogliby być odpowiedzialni agraryzm na terenie miast. W tych warunkach nawet polski legalny, nierewolucyjny ruch robotniczy był dla agraryzmu nie do przyjęcia.

Myślę, że wśród niedopowiedzeń i niejasności agraryzmu kryje się stwierdzenie, że w przyszłym ustroju prymat należało ma do warstwy chłopskiej jako całości. Polska Ludowa miała być urządzona przez chłopów, jako 1) tych, którzy stanowią w narodzie większość wyszli wreszcie z wiekowego poniżenia i należą im się za to coś w rodzaju rekompensaty, 2) ponieważ są nosicielami jedynie zdolnych zbudować Polskę wartości ludowych. „Ruch ludowy ma olbrzymie zadanie do spełnienia: ma zbudować prawdziwą Polskę, która jeszcze jest nijaka, mętna, zdana na łaskę przygodnych wiatrów i fał... niesfałszowane oblicze i istotną siłę znajduje wśród w łóżach zbiorowej duszy chłopskiej. Tam się kryją wartości polskiego plemienia, które są trwałe,

1) „Wici” Nr 13, 28 marca 1937 r. St. Młodzeniec — Wiara chłopska.

2) „Wici” Nr 21, 16 maja 1937 r. J. Niecko — Na to chłopskie święto zielone...

3) tamże.

4) Z omawianej już Deklaracji ZMWRP „Wici”, z części uchwalonej w r. 1935. Zwraca uwagę fakt, że w r. 1931 Niecko pisał o „miastowych śmach nocnych” żyjących z pracy „ludu rolnego” nie dostrzegł w ogóle w mieście klasy robotniczej, tak jakby i robotnicy byli owymi „śmachami”.

5) „Wici” Nr 13, 28 marca 1937 r. St. Młodzeniec — Wiara chłopska.

naprawdę oryginalne i rzetelnie narodowe... To honor chłopski jest w tym, by jak najrychlej Polska stała się krajem urządzonym po chłopsku. To honor gospodarza, żeby być naprawdę gospodarzem tej ziemi”.

Pokojowe „wrastanie” agraryzmu w „prawowity polski liberalny kapitalizm” (bez przeżytków feudalnych w postaci szlacheckiego obszarnictwa i bez przygniatającego rolnictwo kapitału przemysłowego) nie pozwala „Wiciom” na zdecydowaną walkę z kapitalizmem. Walka ta skierowuje się raczej przeciwko szlachecko-klerykalnym resztkom feudalizmu jak również przeciwko „półfascystowskiej wybujałości” kapitalizmu — sanacji niweczącej wolności ustroju liberalno-kapitalistycznego.

W tym samym okresie kiedy „Wici” po przepracowaniu „odgórnym” założen agraryzmu wpajają w masy członkowskie ideowe założenia niezależnej chłopskiej „trzeciej siły”, „Chłopskie Życie Gospodarcze” mówi wyraźnie o dwu tylko światach. Jeden z tych „światów” stanowią ci, „którzy żyją z cudzej pracy” (świat kapitału), drugi ci, „którzy pracują przede wszystkim na innych a potem dopiero na siebie” (świat pracy).

Chłopi razem z robotnikami należą do wyzyskiwanego przez kapitał świata pracy. „Polska szuka kolonii... jest to zbyt czyste, bo przecież wewnątrz kraju mamy olbrzymie tereny kolonialne. Poca szukać czarnych, kiedy mamy 20 milionów białych murzynów”. „Każdy człowiek myślący, patrzący trzeźwo wokół siebie, widzi na każdym kroku, że... nierówność majątkowa jest źródłem wszelkiego upodlenia i poniżenia człowieka. Nierówność majątkowa jest fundamentem innych nierówności, które przecież zostały zniszczone. Zostało zniszczone niewolnictwo, a isnieje wszędzie tam, gdzie jest praca najemna. Zniszczone pańszczyźne, a dzisiaj życie chłopów jest tak ciężkie, jak było za czasów pańszczyźny. A warunki pracy robotników dworskich to przecież typowa pańszczyzna... „Równość” widać w mieście, gdy samochodem rozbija się jakiś grubas ze złotą dewizką na brzuchu, albo dwudziestoletni młokos, a obok zgarnięty starzec ciągnie naładowany wózek. I na wsi widzimy „równość”, gdy młodzi i zdrowi ludzie paradują sobie bryczką, opryskując błotem wynędzniałą, starą kobietę, która lezie z trudnością gdzieś tam do znachora dla poratowania zdrowia, albo do kościoła dla oddania się opiece boskiej... Zrozumieć muszą głodni, bezdomni, bezrobotni, że porządek społeczny ułożyli ludzie, a więc i ludzie mogą go zmienić”.

Jednolitofrontowa postawa „Chłopskiego Życia Gospodarczego” wiąże się mniej lub bardziej ze świadomym przejęciem idei socjalizmu. Niestety trudno jest określić ten stopień świadomości mając do dyspozycji prasę podlegającą sanacyjnej cenzurze. Nie wiadomo, co jest celowym fałszowaniem i zamazywaniem myśli ze względu na cenzurę, co zaś jest wynikiem rzeczywistej postawy ideologicznej „Chłopskiego Życia Gospodarczego”. Jak już wspominałem uprzednio, wydaje się, że świadome przyjęcie socjalizmu było udziałem niewielu tylko członków grupy przewodniczej „Chłopskiego Życia Gospodarczego”.

Odbicia tej linii ideologicznej w piśmie brak. Na ogół stanowisko autorów artykułów zbliżone jest do socjalistycznego przy akcentowaniu chłopskiej samodzielności. „Ludzkość idzie do demokracji. Nie do liberalnej demokracji, w której masz prawo głosuwać, a do garnka nie masz co włożyć. Chodzi o rzeczywistą równość i sprawiedliwość. Ale o tę równość może walczyć skutecznie tylko chłop i robotnik. Nie będziemy dążyć do dyktatury proletariatu, nie uznajemy dyktatury ani jednostki, ani jakiejś klasy miejskiej nad chłopem. Chcemy demokracji i o tę demokrację razem z robotnikami na zasadzie równości walczyć możemy”.

5) „Chłopskie Życie Gospodarcze” Nr 4, 7 lutego 1937 r. St. Ignar — Ludzie pracujący.

„Łączymy się z wami — mówi do zgromadzonych na manifestacji pierwszomajowej w Łodzi robotników przewodniczący „Wici” W. Janczak — nie z taktyki, nie z wyrachowania. Łączy nas wspólna niedola, wspólna krzywda i wspólna walka. Jesteśmy przecież jednej krwi... Wspólna walka mas robotniczych i chłopskich doprowadzi nas do zwycięstwa, do Polski Ludowej robotniczo-chłopskiej”.

Ideą robotniczo-chłopskiej Polski Ludowej nie godził się z cichym założeniem agraryzmu — roli przewodniczej warstwy chłopskiej. Przejście na pozycję jednolitofrontowe równało się zdradzie ideału agrarystycznej chłopskiej Polski. Znajdzie to swój wyraz w ustosunkowaniu się Zarządu Głównego „Wici” do „Chłopskiego Życia Gospodarczego”.

W jaki sposób miał być zrealizowany ideał robotniczo-chłopskiej Polski Ludowej? Do tej kwestii nie ma także prasowych materiałów. Pewne ostrożne wnioski można wyciągnąć z podanych poniżej i podobnych im urywków. „Ci, którzy boją się utraty władzy, folwarków i wielkich dochodów ze swych fabryk i kopalni, oraz zjadacze wysokich pensji i cała zgraja służalców i karierowiczów, poprzez drobne ofiary na powodzin i bezkrywe towarzystwa dobroczynne chcieliby zakryć polską nędzę i wywołać złudzenie, że się coś radzi. Ale nie uda się tego zrobić pogadankami radiowymi, książkami i gazetami, a nawet ofiarami miłośnymi i obietnicami ministrów. Trzeba myśleć o środkach skuteczniejszych i reformach zasadniczych”.

„Herb szlachecki siedzi zawsze w parze z posiadaniem dworu i pasożytnictwem na chłopskiej pracy... jeszcze my w pacierzu uczylimy się, że „godów małżeńskich w czasach zakazanych nie odprawiać — dziesięć Kościołowi wiernie oddawać”. Chyba, że ludzom zbraknie cierpliwości...”.

Jednolitofrontowcy z grupy „Chłopskiego Życia Gospodarczego” widzą więc zróżnicowaną, piszą o wyrobniach i komornikach — nie piszą jednak o 200-morgowych ludowcach z Wielkopolski. Zwykli tu idea solidaryzmu w warstwie chłopskiej mimo wyznawanej w praktyce walki klas. Niektóre wypowiedzi zdają się świadczyć o wierze autorów w to, że w ramach zróżnicowanej ekonomicznie warstwy chłopskiej można wprowadzić zasady równości społecznej — trzeba tylko dobrej woli. „Popatrzmy... jak właściwie ma się rzecz z demokracją w naszej gromadzie chłopskiej. Co nas uderzy? Przede wszystkim ten niczym... nie usprawiedliwiony podział na bogatszych, średnich, chałupników, komorników, komornych, rodowych, przywózków itd.

Każda gromadka żyje nieomal swym odrębnym życiem z tej prostej przyczyny, że zamożniejsi mają swoją grupę, a do biedniejszych ona się nie łączy.

Gospodarz kilkumorgowy chowający parę lub więcej koni, ma się... o cale niebo za lepszego od czteromorgowego chudeusza — co im obydwom nie przeszkadza pomicać przy łada okazji chałupnikami czy inną biedotą... Wszędzie, czy na drodze, czy w kościele, na zebraniu, czy też na weselu albo chrzcinach, wszędzie tzw. dźdzy muszą zejść na plan drugi i zadowolili się byle czym... A niechby który spróbował nie ustąpić, to przy łada okazji dostanie tak za swoją śmiałość, że zapomni. Będzie musiał zejść w ścianę wbić, bo go żaden do roboty nie zawoła”. Uwagi powyższe kończą się jedynie „odwoływaniem” się autora do chłopskich uczuć sprawiedliwości.

Przy tym problemie należy zwrócić uwagę na fakt, masowej proletaryzacji chłopów w okresie sanacyjnym. Autorzy „Chłop. Życia Gospodarczego” widzą ten proces, pisząc o dzieleniu zamożniejszych gospodarstw chłopskich. Tym sposobem warstwa chłopska pod wpływem czynników zewnętrznych ulega wyrównaniu. Być może, że jest to jeden z czynników, który przesłania autorom „Chłopskiego Życia Gospodarczego” widok zróżnicowanej ekonomicznie — społecznie warstwy chłopskiej.

Ogólnie trzeba stwierdzić, że ideał społeczny Polski Ludowej jest w grupie „Chłopskiego Życia Gospodarczego” nieokreślony. Zawiera zarówno pierwiastki agrarystyczne jak i socjalistyczne, interpretowane w sposób dość dowolny przez poszczególnych członków grupy.

Mimo to osiągnięciem „Chłopskiego Życia Gospodarczego” jest przejęcie idei o wspólnocie interesów chłopów i robotników, zaliczenie chłopów do świata pracy. Jako świat pracy chłopci muszą toczyć bezwzględna walkę z kapitalizmem, walkę nieosiągalną przez hasła „trzeciej siły”.

7) tamże.

8) „Chłopskie Życie Gospodarcze” Nr 10, 15 lipca 1935 r. Br. Drzewiecki — Nierówność.

9) Dawna grupa poznańsko-łódzka od wydania pisma nazywam grupą „Chłopskiego Życia Gospodarczego”.

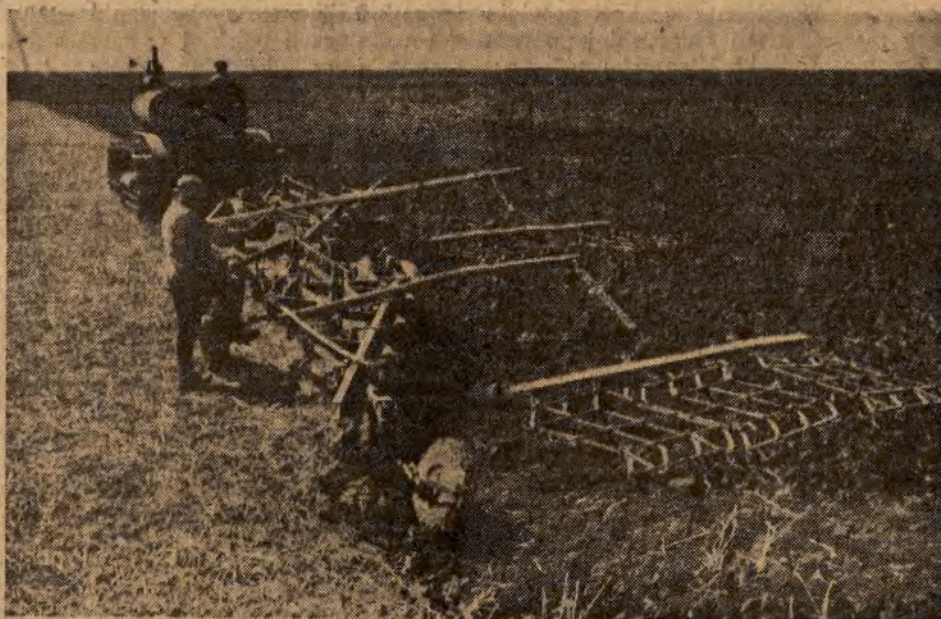
10) „Chłopskie Życie Gosp.” Nr 4, 7 lutego 1937 r. St. Ignar — Ludzie pracujący.

11) „Łódzianin” z dnia 2 maja 1938 r.

12) „Chł. Życie Gosp.” Nr 6, 15 maja 1935 r. St. Ignar — Nędza ukrywana.

13) „Chłopskie Życie Gosp.” Nr 12, 15 sierpnia 1935 r. St. Ignar — Przywileje i zyski.

14) „Chłopskie Życie Gospodarcze” Nr 15, 1 października 1935 r. Efem (M. Flejszar) — O demokracji słów parę.



W Państwowym Gospodarstwie Rolnym

F. Barkow

Struktura rolna ZSRR

Śród największych przekształceń rewolucyjnych, które nastąpiły w ZSRR pod przewodnictwem Partii Bolszewickiej, na pierwszym miejscu stoi socjalistyczne przeobrażenie gospodarki rolnej. Dzięki zwycięstwu socjalizmu gospodarka rolna w ZSRR z zafarnej i rozbitej — jaką była przedtem — stała się najbardziej postępową, największą i najlepiej zorganizowaną na świecie. W roku 1940 było już w ZSRR w miejsce poprzednich 25 milionów pojedynczych gospodarstw chłopskich, z których każdy uprawiał dla siebie mały kawałek ziemi, 250.000 dużych socjalistycznych przedsiębiorstw rolnych, wyposażonych w najnowocześniejszą — postępową technikę i stosujących w uprawie roli najnowsze zdobycze i osiągnięcia agrobiologii. Te socjalistyczne duże gospodarstwa osiągnęły w 1940 roku 98,8 proc. całej produkcji surowców rolnych ZSRR.

Socjalistyczne duże gospodarstwa rolne występują obecnie w Związku Radzieckim pod dwiema postaciami: w formie sowchozów¹⁾ i kolchozów²⁾.

Co właściwie przedstawiają sowchozy i kolchozy, co mają wspólnego i czym się między sobą różnią?

Sowchoz jest to duże państwowe gospodarstwo nastawione na produkcję rolną (zboża, kultury techniczne, mięsa, ziarna, bydła rasowego itp.). Jest to przedsiębiorstwo państwowe typu wybitnie socjalistycznego. Ziemia, na której się to gospodarstwo znajduje, wszystkie środki i narzędzia produkcji jak i cała produkcja osiągnięta w sowchozie należą do Związku Radzieckiego — tzn. do całego narodu.

Kolchozy przedstawiają inny rodzaj socjalistycznego przedsiębiorstwa rolnego.

Kolchoz jest to dobrowolne zrzeszenie pracujących chłopów w celu prowadzenia wspólnej gospodarki na zasadzie kolektywnej pracy i daleko posuniętej mechanizacji.

Kolchozy rozwijają się na państwowej ziemi i uprawiają ją przy pomocy traktorów, kosiarek i innych maszyn rolniczych, które oddaje im do dyspozycji państwo za pośrednictwem stacji maszynowych i traktorów. Ekonomiczne podstawy kolchozu stanowią prócz państwowej ziemi także uspołecznione środki produkcji, które są własnością całego kolektywu, wszystkich chłopów pracujących w kolchozie. Kolchoz stanowi więc socjalistyczne przedsiębiorstwo typu spółdzielczego (społeczne). Jest jedną z form gospodarki socjalistycznej, wszelako jedną z mniej rozwiniętych.

Sowchozy, jako państwowe przedsiębiorstwa ściśle socjalistycznego typu i kolchozy, jako przedsiębiorstwa typu spółdzielczego są ze względu na swój charakter o tyle podobne, że bazują i jedne, i drugie na uspołecznieniu własności środków produkcji. Tak w sowchozach jak i w kolchozach panują stosunki koleżeńskie współpracy i wzajemnej pomocy w duchu socjalizmu. Ta współpraca wolna jest od wszelkiego wyzysku.

Sowchozy i kolchozy są do siebie podobne, ale nie identyczne. Istnieją między nimi różnice uzależnione od obu form własności socjalistycznej: socjalistycznej i kolektywnej — społecznej.

Aby te różnice między sowchozami i kolchozami lepiej sobie uzmysłować, musimy zbadać istotę społecznej własności oraz zagadnienie organizacji pracy i wynagrodzenia oddzielnie, jak też rozpatrzyć system kierownictwa i zarządu w sowchozach i kolchozach.

Zatrudnieni w sowchozach nie różnią się od robotników fabrycznych ze stanowiska społecznego, lecz ze względu na rodzaj ich czynności. Np. podczas gdy ślusarz jakiejś fabryki maszyn zatrudniony jest zestawianiem poszczególnych części maszyn, to traktorzysta, względnie obsługujący maszynę rolniczą w sowchozie, pracuje na traktorze czy kosiarce w polu, uprawia ziemię, lub zbiera plony. Robotnicy w sowchozach, podobnie jak robotnicy w fabrykach, otrzymują wynagrodzenie w pieniądzu i to w takiej wysokości, która odpowiada jakości i ilości ich pracy. Tak więc np. robotnicy pracujący w polu w sowchozie za czynności swe (orkę, sianie itp.) wynagradzani są w zależności od ilości obróbowanych hektarów, z doliczeniem do tego pewnych dodatków przy wzroście produkcji ponad normę od hektara. Gdy więc dwaj robotnicy w różnych sowchozach wykonują tę samą pracę, otrzymują na ogół tę samą zapłatę. Robotnicy sowchozów żyją w warunkach nie wiele różniących się od warunków życiowych robotników miejskich.

Osiadła robotnicza w sowchozach mają wygląd małych nowoczesnych miast. Znajdują się w nich: teatry, kina, świetlice. Mieszkania robotników sowchozowych mieszczą się przeważnie w nowych domach, są zaopatrzone w elektryczność, kanalizację i radio.

Zasady pracy robotników fabrycznych są identyczne z zasadami pracy pracowników sowchozów.

System zarządzania i kierownictwa w sowchozach nie różni się od systemu kierownictwa w fabrykach. W sowchozach, jak w każdym radzieckim przedsiębiorstwie, panuje zasada odpowiedzialności osobistej. Dyrektor sowchozu nie jest wybierany, tylko mianowany przez organa państwowe. Również kontrolę nad działalnością sowchozu sprawują organa państwowe, które reprezentują wolę narodu, wolę klasy robotniczej, jako władzy zwierzchniej w społeczeństwie radzieckim.



Stacja doświadczalna Akademii Rolniczej im. Timiriaziewa w ZSRR. Znamomity uczonek sowiecki prof. Loreh informuje studentów o nowym gatunku ziemniaka

Zasadnicze i najważniejsze jądro ruchu kolektywnego w obecnym etapie socjalistycznego budownictwa w Związku Radzieckim stanowi kolektyw rolniczy (kolchoz). Jest to, jak już wspomnieliśmy, dobrowolne połączenie się chłopów w jedno duże przedsiębiorstwo w celu zbiorowego gospodarowania. Socjalistyczny charakter takiego rolnego stowarzyszenia wyraża się w tym, że jest ono uplasowane na ziemi państwowej, posługuje się środkami produkcji, które również należą do państwa. Państwo oddało kolchozom ziemię na wieczne i bezpłatne użytkowanie.

Przed wybuchem drugiej wojny światowej kolchozy rozporządzały ponad 370 milionami ha ziemi (240 milj. więcej niż pracujący chłopowie w Rosji carskiej). Kolchoz jednak nie ma prawa sprzedawać ani oddawać w dzierżawę ziemi nadanej mu aktem państwowym na wieczne użytkowanie.

Aby zrzeszonych w kolchozie chłopów wspierać w ich pracy produkcyjnej, państwo stworzyło stacje maszynowe i traktowe. Są to przedsiębiorstwa państwowe typu ściśle socjalistycznego, w których skoncentrowano tabor traktorowy, kosiarek i innych maszyn rolniczych. Za pomocą traktorów i maszyn niosą owe stacje istotną pomoc kolchozom przy uprawie roli i zbiorach plonów.

Stosunki między stacjami maszynowymi i traktorowymi a kolchozami, opłaty za korzystanie z traktorów i innych prac stacji w kolchozie regulowane są na podstawie specjalnych kontraktów. W takim kontrakcie określone są dokładnie obustronne zobowiązania i obustronna kontrola, nad wypełnieniem których czuwają obie strony. Sens tych kontraktów tkwi w tym, że zapewniają stałe wzrastającą dochodowość kultury rolnej w kolchozach. Kontrakt zawiera pełny wykaz wszelkich prac wykonywanych przez stacje maszynowe i traktowe w kolchozie, dzięki czemu ustalony jest nie tylko dokładny zakres lecz także jakość i termin ich wykonania.

Aby zabezpieczyć interesy państwa, w kontrakcie zawarte są także zobowiązania kolchozu co do terminowych dostaw kontyngentu państwowego w naturze i pieniądzu — jako zapłaty za prace traktorów i maszyn ze stacji. Stosownie do warunków kontraktu wynagradzane są przez kolchoz tylko prace wykonane bez zarzutu. Za prace, które nie zostały wykonane w terminie przewidzianym w kontrakcie, kolchoz płaci o wiele mniej w porównaniu do opłaty za terminowo wykonaną robotę.

W kolektywach rolnych uspołecznione są wszystkie najważniejsze środki produkcji (inventarz żywy, plugi, młocarnie itp.), ziarno na siew, budynki gospodarskie i społeczne oraz przedsiębiorstwa pomocnicze.

Kolektyw rolny, tzn. walne zgromadzenie jego członków, rozporządza samodzielnie uspołecznionymi środkami produkcji i wytworzoną produkcją. Po wypełnieniu zobowiązań w stosunku do państwa i po opłaceniu pracy stacji maszynowych i traktorowych zgromadzenie rozdziela osiągniętą produkcję wg planu produkcyjnego. Po odłożeniu zapasów na siew, opłaceniu składek ubezpieczeniowych, odłożeniu sum na potrzeby kolektywu zgromadzenie dzieli swój czysty dochód (produkty i pieniądze) pomiędzy kolchozów.

Specyficzną właściwością kolchozu jest to, że obok społecznego (wspólnego) gospodarstwa istnieją także prywatne — każdy kolchoznik ma do swego osobistego użytku kawałek ziemi od 0,25 do 1 ha, bydło (1—2 krów, do 30 owiec, do 10 świń), drób w nieograniczonej ilości oraz mniejsze narzędzia gospodarskie niezbędne we własnym gospodarstwie. Prywatne gospodarstwo kolchoznika jest pomocniczym przedsiębiorstwem i stanowi dlań źródło dodatkowego dochodu. Są one również dlatego niezbędne, że kolchoznik, który przed niedawnym jeszcze czasem posiadał małe, prywatne gospodarstwo, nie może się wyżyć od razu dawnego przyzwyczajenia.

Źródłem wzrastającego materialnego dobrobytu kolchozników jest ziemia, wspólne

gospodarstwo i wspólna, zbiorowa praca. Główna uwaga kolchozników koncentruje się na ugruntowaniu i rozwoju wspólnego gospodarstwa, gdyż zależnie od tego, im większe są dochody w produkcji kolchozu, tym większe są również zyski kolchozników tak w naturze jak i w gotówce, a tym samym podnosi się materialny i kulturalny poziom ich życia.

W obecnym etapie socjalistycznego budownictwa w ZSRR kolchoz jest jedyną racjonalną formą ruchu kolektywizacyjnego; forma ta stwarza harmonię między osobistymi i społecznymi interesami kolchozników, uzgadnia prywatne interesy ze społecznymi i wychowuje kolchozników w duchu kolektywizmu.

Praca w kolchozie podzielona jest według specjalności. Brygady produkcyjne zajmują się uprawą roli, inne — hodowlą, jeszcze inne — budownictwem.

Praca kolchozników wynagradzana jest według dni roboczych. Dzień roboczy jest jednostką miary, jakości i ilości wykonanej pracy przez poszczególnych kolchozników i przez cały kolektyw. Zależnie od tego, czy praca jest ciężka, skomplikowana, ważna dla kolchozu i wymagająca kwalifikacji — dzieli się na grupy. Dla każdej grupy ustalona jest jednolita norma pracy. Lepsze, mniej ważne prace oceniane są połową normy dnia roboczego. Przy pracach najcięższych i najważniejszych stosowana jest norma wynagrodzenia — jak za 2,5 dnia roboczego.

Wszystkie prace kolchozników przepracowane dni robocze wciągane są do ksiąg pracy. W celu wzmocnienia dyscypliny pracy walne zgromadzenie kolchozu ustala minimalną liczbę dni roboczych na przeciąg roku. Minimum to różnie jest w poszczególnych kolchozach. Przeciętnie wynosi ono 150 — 200 dni. W praktyce łączna minimalna ilość dni roboczych jest stale przekraczana.

Od wykonanej pracy w kolchozie — jako całości i jako pracy każdego poszczególnego kolchoznika — zależą dochody kolchozu i każdego kolchoznika z osobna. Po zakończeniu roku znaczna część wspólnego dochodu zostaje rozdzielona między kolchozników. Każda rodzina otrzymuje produkty i pieniądze stosownie do ilości dni roboczych wykonanych przez cały kolektyw.

Ponieważ poszczególne kolchozy pracują w rozmaitych warunkach, przeto wysokość ich dochodów jest też rozmaita. W Związku Radzieckim istnieje obecnie tysiące kolchozów o milionowym majątku. W takim kolchozie na każdy dzień roboczy przypada 5 — 7 kg zboża, 10 — 20 rb. gotówki i wiele innych artykułów osiągniętych z produkcji. Istnieje jeszcze jednak pewna ilość słabszych, opóźnionych w rozwoju kolchozów, w których dzień roboczy przynosi 2 — 3 kg zboża i 4 — 6 rb. gotówki. Gospodarstwa te podnoszą się jednak szybko przy zwiększonej pomocy ze strony Związku Radzieckiego.

System kolektywnej (zbiorowej) produkcji wymaga kolektywnego zarządu. Najwyższym organem zwierzchnim kolchozu, tym, który prowadzi gospodarstwo i kieruje produkcją, a zarazem sprawuje nieograniczoną władzę nad społecznością kolchozu czyli dobrowolnego zrzeszenia chłopów — jest walne zgromadzenie. Obraduje ono nad podstawowymi i najważniejszymi zagadnieniami gospodarczego i kulturalnego życia kolchozu. Walne zgromadzenie wybiera zarząd, przewodniczącego i komisję rewizyjną, którzy są odpowiedzialni przed walnym zgromadzeniem. Zarząd ustala plan produkcji na rok nadchodzący, ustala preliminarz dochodów i wydatków, plan robót budowlanych, planuje prace, zawiera kontrakty ze stacjami maszynowymi i traktorowymi oraz sporządza sprawozdanie roczne i ustala sposób podziału produktów i środków pieniężnych podług dni roboczych itd. Postanowienia walnego zgromadzenia obowiązują wszystkie organa wykonawcze i wszystkich członków kolchozu. Walne zgromadzenie zwolnowane jest przynajmniej raz w miesiącu.

Zarząd kolchozu ponosi bezpośrednią odpowiedzialność za stan pracy w kolchozie, wypełnia postanowienia walnego zgromadzenia i stara się ze wszystkich sił o rozwój całego gospodarstwa.

Przewodniczący kolchozu jest równocześnie prezesem zarządu. Kieruje on stałą pracą społeczności i jej brygad, kontroluje wykonywanie zleceń zarządu i zwołuje przynajmniej 2 — 3 razy w miesiącu posiedzenia członków zarządu dla przedyskutowania bieżących spraw i powzięcia decyzji.

Już w pierwszych dniach po zwycięstwie wielkiej socjalistycznej Rewolucji Październikowej władze sowieckie wydały dekret o reformie rolnej. Na mocy tego dekretu własność ziemską obszarników stała się własnością całego narodu. 150 milionów dziesięcin ziemi, należącej do ziemian, państwa i klasztorów zostało oddane na bezpłatne użytkowanie chłopom. Nacjonalizacja ziemi odegrała istotną rolę w walce o socjalistyczne przemiany gospodarki rolnej w ZSRR.

Po wydaniu tego dekretu przez władze Związku Radzieckiego, 9 lutego 1918 r. rozpoczęło się organizowanie sowchozów na wsi. Powstały one prawie bez wyjątku na miejscu dawnych dóbr obszarników i objęły w końcu 1918 r. łącznie 7,5 proc. tych dóbr. Sowchozy wytwarzały produkty rolne dla państwa, ale znaczenie ich polegało nie tylko na tym. Przyczyniły one z wydatną pomocą chłopom w postaci maszyn, ziarna, bydła i sił fachowych. Służyły one za wzór wielkiego rolnego gospodarstwa dla okolicznych włości. Sowchozy wskazywały chłopom korzyści wynikające ze zbiorowej pracy i dużej produkcji.

Już w pierwszych latach panowania ustroju socjalistycznego obok sowchozów i na ich bazie powstawały też kolchozy. Była to najcięższa aż do 1929/30 r. forma łączenia się w celu wspólnego gospodarowania. W r. 1927 było w ZSRR 1407 kolchozów. Łączna powierzchnia obszarów ornych sowchozów i kolchozów wynosiła wówczas 1,7 proc. całej powierzchni ornej kraju.

W grudniu 1927 r., gdy osiągnięto bogate doświadczenia w socjalistycznej budowie gospodarki rolnej i gdy przemysł socjalistyczny doszedł do znacznych osiągnięć pozwalających zaopatrzenie rolnictwa w najnowocześniejsze techniczne środki pomocnicze, w maszynowniach rolniczych, powzięto na XV zjeździe WKP (b) uchwałę wszechstronnego rozwoju kolektywizacji w rolnictwie. W przeciągu pierwszych pięciu lat (1928—1932) gwałtownie wzrosła liczba sowchozów i kolchozów.

Począwszy od 1928 r. powstały nowe kolchozy na ziemiach przeważnie dotąd jeszcze nieuprawionych, w Środkowej Azji, Syberii i na obszarach leżących po tamtej stronie Włgi. Obok stacji maszynowych i traktorowych sowchozy grały zasadniczą rolę w powstawaniu kolchozów. W latach 1929/30 chłopowie przychodzili masowo do sowchozów i do stacji maszynowych i traktorowych. Obserwowali pracę traktorów, kosiarek i zapali ich wyrażał się w jednomyślnym postanowieniu przystąpienia do kolchozów. Z końcem 1932 r. powstało już 211.100 kolchozów, które zjednoczyły 14,9 milionów gospodarstw chłopskich o 77 proc. łącznej powierzchni rolnej. W r. 1932 powierzchnia orna sowchozów wzrosła do 13,4 milionów ha. W okresie rozwijania się kolektywizacji powstawały kolchozy już całkowicie na bazie uspołecznienia gospodarki.

Pod koniec drugiej pięcioletki (1937) było w ZSRR około 4.000 sowchozów o łącznej powierzchni 51,1 milionów ha. W owym czasie kolchozy i sowchozy rozporządzały 421,9 milionami ha.

W 1940 roku, gdy nastąpiło całkowite socjalistyczne przekształcenie rolnictwa w Związku Radzieckim, było w kraju ponad 250.000 kolchozów, około 5.000 sowchozów i ponad 7.000 stacji maszynowych i traktorowych.

Obecnie po wojnie socjalistyczna gospodarka rolna stoi wobec zadania podniesienia w nadchodzących latach rentowności produkcji surowców i produktów rolnych do takiej wysokości, aby osiągnąć nadmiar, a tym samym stworzyć podstawę do stopniowego przejścia od socjalizmu do komunizmu. Ważne to zadanie osiągnięte będzie przy pomocy daleko posuniętej mechanizacji, przez wszechstronny rozwój i ugruntowanie kolchozów, rozwój i umocnienie ich społecznej własności, przez organizacyjne i ekonomiczne wzmocnienie sowchozów, stacji maszynowych i traktorowych i kolchozów. Wzrastająca mechanizacja pracy w kolchozach przyspieszy równocześnie proces przekształcania pracy rolniczej na rodzaj pracy przemysłowej i pomoże w ten sposób wyrównać różnice pomiędzy miastem i wsią.

Dalsze ugruntowanie społecznej własności kolchozów przy równorzędnym rozszerzeniu zasadniczej roli socjalistycznej własności państwowej doprowadzi do przejścia każdej z tych form w jedną, wspólną dobro na celu mającą, komunistyczną formę własności. W ustroju komunistycznym nie ma dwóch form własności; istnieje już tylko jedna — forma własności komunistycznej.

W ustroju komunistycznym kolchozy przekształcają się w formę komuny. Komuna powstanie na podstawie wysoko rozwiniętej techniki i nadprodukcji. W ustroju komunistycznym nie będzie prywatnych pomocniczych gospodarstw chłopskich, ponieważ będą zbyt zbyteczne. Cała ludność będzie mogła zaspokoić swe wszelkie potrzeby przy pomocy wysoko rozwiniętej gospodarki społecznej komuny.

Tłumaczył E. Ney.

¹⁾ „Sowietskoe chozajstwo” skrót. „Sowchoz” — majątek państwowy.

²⁾ „Kollektiwnoe chozajstwo”, „kolchoz” — kolektywne gospodarstwo rolne.

Konstanty Grzybowski

GENEALOGIA ZDRADY

„...wzrost coraz większej liczby małych albo słabych narodów przez garstkę najbogatszych albo najsilniejszych narodów” (Lenin: Imperializm jako najwyższe stadium kapitalizmu str. 124).

W miarę postępów imperializmu znikają dla małych narodów możliwości nie tylko gospodarczej, ale i politycznej suwerenności — przy zachowaniu w nich ustroju kapitalistycznego. W miarę postępów imperializmu metody podporządkowania sobie małych narodów przez wielkie narody ulegają zaostrzeniu, wyjątkowości — zawierają coraz więcej objawów „gnicia”: w miejsce przede wszystkim gospodarczych metod opanowania małego narodu mamy coraz wyraźniej — metody polityczne, w miejsce zaołowania, ukrycia form opanowania — mamy coraz większą jawność tych metod, w miejsce trzymania się przy najmniej form prawnych mamy — obok jawnego lekceważenia prawa — coraz więcej metod bezprawnych, zarówno w postaci otwartego gwałtu, jak i w postaci zakonspirowanej szpiegowskiej „inspiracji”.

Mały naród nie może w okresie imperializmu utrzymać niepodległości i równocześnie pozostać przy ustroju kapitalistycznym. A dziś wiemy, że Polska lat 1918 — 1939 nie była ani narodem wielkim, ani państwem wielkim. „Mocarstwowość” ujawniła się w czasie procesu Doboszyńskiego jako mistyfikacja, mająca ukryć zależność od wielkich tego świata.

„Widzimy trzy obrazy z wysoko rozwiniętym kapitalizmem. Wśród nich trzy panujące nad światem państwa: Niemcy, Anglia, Stany Zjednoczone” (Lenin: Imperializm str. 96).

Z punktu widzenia sytuacji Polski w międzywojennym dwudziestolecu nie można do tych słów dodać. Słabe i małe państwo kapitalistyczne sąsiadowało tylko z jednym wielkim państwem z wysoko rozwiniętym kapitalizmem, z Niemcami. Jak długo było kapitalistycznym, leżało w naturalnej strefie wpływów Niemiec. I to Niemiec wyparty z terenów kolonialnych, z terenów małoazjatyckich, a więc Niemiec, którego cały imperializm musiał (znowu jak długo Niemcy były kapitalistyczne) kierować się ku swym wschodnim i południowo-wschodnim sąsiadom. I z tego punktu widzenia jest znowu mistyfikacją spór między „orientacją zachodnią” a „orientacją centralną” — bo punktem wyjścia obu było stawianie na związanie Polski z państwami kapitalistycznymi, a konsekwencją tego stanowiska musiało być uzależnienie Polski od jednego jej terytorialnie bliskiego wielkiego kapitalistycznego państwa. Jeśli z punktu widzenia imperialistycznej moralności istnieje różnica między płatnym agentem niemieckim z jednej strony a „ideowym” faszystą — czy imperialistą wierzącym w „misję dziejową” Polski na wschodzie — to z punktu widzenia moralności społecznej i z punktu widzenia politycznych skutków działalności te różnice są raczej płynne, granice między tymi typami



mentalności są raczej niewyraźne. Proces Doboszyńskiego odsłonił i to zjawisko.

„...na pasożytnictwie i gnicu kapitalizmu, które są właściwe jego najwyższemu stadium historycznemu, czyli imperializmowi” (Lenin: Imperializm str. 12).

Gnicie jakiegoś systemu gospodarczego musi, rodzic zgniliznę związanych z nim klas społecznych. Marks określał lumpenproletariat jako „bierny wytwór gnicia najniższych warstw starego społeczeństwa”. Ale w końcowej fazie kapitalizmu gniją klasy produkujące w kapitalizmie i zarażane przez nie klasy pośrednie. Ale nie są one „biernie”, przeciwnie — w obliczu końca ujawnia się ich gorączkowa, historyczna — i właśnie mająca wszelkie cechy „gnicia” działalność. I tu mamy podłoże klasowej analizy sprawy Doboszyńskiego.

Umiejscawiając Doboszyńskiego klasowo mówiliśmy „ziemianin”, szukając nadbudowy ideologicznej dla tej sytuacji klasowej mówiliśmy „Roman Dmowski”. I jedno, i drugie trafnie, i jedno i drugie niewystarczająco.

Ziemianin, ale drobny ziemianin. Gdyby Chorowice Doboszyńskiego leżały o 20 km dalej na zachód znalazłby się w okresie okupacji w „Reichu” i nie podlegałby reformie rolnej — miałby mniej niż 100 ha, a gdyby się znajdował w Niemczech, ich właściciel uchodziłby za „grossbauera”. To nazwa „demokracja szlachecka” pozostawiła nam ten typ gospodarstwa, które nie jest, z gospodarczego punktu widzenia, wielkim majątkiem rolnym, a nie chce się uważać za socjalno-politycznego punktu widzenia za gospodarstwo „kułackie”. Właściciel wielkiego latyfundium rolnego, czy właściciel dużego folwarku przeszedł już całkiem na metody kapitalistycznego gospodarowania, koczował (jeszcze) ze skutków kapitalistycznej

koncentracji produkcji, nie groziły mu (jeszcze) niebezpieczeństwa monopolizacji produkcji na odcinku rolnym. Był — z politycznego punktu widzenia — agentem i podporą obcego imperializmu w sposób jawny i inatniejszy: udzielał w przedsiębiorstwach o obcym kapitale, rady nadzorcze. Właściciel drobnego folwarczku nie wytrzymywał konkurencji z gospodarstwem wielkofolwarcznym. Nie wytrzymywał także konkurencji z gospodarstwem „kułackim” — nie pozwalała mu na to jego, o tyle wyższa od chłopskiej, stopa życiowa, żył nad stan. Był, gospodarczo, produktem gnicia kapitalizmu rolnego w Polsce. I znalazł to wyraz w jego nadbudowie ideologicznej, to będą podpory ONR potem NSZ.

Tak samo wymaga korektury nazwisko mające reprezentować tę nadbudowę ideologiczną. Doboszyński, choć był (obok sprytniejszego a głupszego Bieleckiego) jednym z dwóch kandydatów na następcę Dmowskiego, nie wzrastał pod jego wpływem. To była specyficzna krakowska szkoła kołtuńsko-małomiasteczkowego, gnijącego faszystu, którego prorokami byli Kazimierz Marian Morawski i Karol Hubert Rostworowski, dwaj mistrzowie i nauczyciele także i Doboszyńskiego. Pierwszy z nich — bardzo nieudany intelektualnie syn wielkiego uczonego, od którego Doboszyński przejął „mit masonski”. I drugi, autor niechlujnie po polsku pisanych sztuk o doskonałych sytuacjach scenicznych i doskonałych rolach dla Solskiego, po którym Doboszyński przejął „mit żydowski” i może coś więcej: ten kompleks nienawiści, który tak w całej jego działalności uderza.

Te dwie postaci, Morawski i Rostworowski, wymagają obszerniejszego omówienia, gdy się będzie pisało o prekursorach polskiego faszystu. Więcej znane jest stanowisko Rostworowskiego, który odkrył swego „Judasza” jako „symbol małości i zakłama-

nia rewolucji” pod wpływem rewolucji 1905 r., a swego „Antychrysta” pisał pod wpływem powstania krakowskiego z listopada 1923, które ujął jako „żydowską intrygę”, który w końcu w trzech ubraniach w formie dramatu powieściach detektywistycznych („Nie spodzianka”, „Przeprowadzka”, „U mety”) rozprawił się, jak sam pisze, z „apetytami (chłopskimi) rozbudzonymi przez zakłamaną demokrację”. Mniej znanym jest wpływ Morawskiego, ale tu tkwi źródło „mitu masonskiego” (będącego u Morawskiego tak już humorystyczną obsesją, że było tego za dużo nawet Władysławowi Konopczyńskiemu). Ci dwaj byli mistrzami politycznymi Doboszyńskiego w jego latach dojrzewania do marszu na Myślenice. I choćby na tle procesu Doboszyńskiego zasługują na przypomnienie — wszak to Karol Hubert Rostworowski był bezpośrednim poprzednikiem Doboszyńskiego jako prezes „Stronnictwa Narodowego” w Krakowie.

Wspólna dla nich jest atmosfera degeneracji, degeneracji gospodarczej, fizycznej, intelektualnej, a proces Doboszyńskiego pokazuje, że także u niektórych — moralnej. Gnijąca klasa czuje, że się kończy. Dlatego nie nawidził wszystkiego, co przychodził po niej — Rostworowski. Dlatego szuka mitycznego winowajcy zła — będą nim masoni, czy Żydzi, czy „żydokomuna” — Rostworowski, Morawski, Doboszyński. Dlatego wita z radością zrodzone w takiej samej atmosferze gnicia „mity” sąsiada — faszysty i hitlerysty. I dlatego granica między głupotą społeczno-polityczną, obłędem społeczno-politycznym a zdradą była tak płynna, jak to wykazał proces Doboszyńskiego.

„...spółnota charakteru narodowego na gruncie wspólnoty losu...” (Stalin: Marksizm a kwestia narodowa).

Kapitalizm polski międzywojennego dwudziestolecia był najbardziej jaskrawym zaprzeczeniem „spójnoty losu”. Spójnota losu wymagała niepodległości. Była tylko jedna droga zdobycia i utrzymania niepodległości: zerwanie ze światem kapitalistycznym, ze światem imperialistycznym, ze światem ucisku narodów małych przez wielkie — a związane się ze światem socjalistycznym, ze światem samostanowienia narodów i walki z imperializmem. Klasy rządzące dwudziestolecia wybrały drogę inną, drogę swego interesu klasowego i to płytko, powierzchownie ujmowanego interesu klasowego. Antyradzieckie nastawienie polityki polskiej nie uchroniło kapitalistycznej Polski od tego, że stała się ofiarą twórców „paktu antykominternowskiego”. Prokapitalistyczne — i proniemieckie — nastawienie polskich kapitalistów nie uchroniło ich od tego, że po zwycięskiej wojnie wygnali ich precz z ich przedsiębiorstw niemieckiej kapitalista.

Na gruzach starego porządku, na gruzach całej polityki dwudziestolecia Polacy „konstytuują się jako naród”. Każdy naród ma określony treść klasową. Proces Doboszyński ujawnił jaskrawie, jaką nie może być treść klasowa narodu polskiego. Dlatego nie był tylko sprawą Doboszyńskiego. I nie był tylko obrachunkiem z przeszłością.

Krystyna Michalik - Nedelković

Rasizm wśród najmłodszych w Ameryce

Jak bardzo zakorzeniony jest rasizm w Ameryce, świadczy sprawozdanie wychowawców w Filadelfii ogłoszone przez Biuro Badań Pedagogicznych z początku 1949 roku. Niektórzy mianowicie postępowi pedagodzy zatrudnieni, coraz gwałtowniejszymi objawami nienawiści i dyskryminacji rasowej wśród młodzieży amerykańskiej, postanowili drogą odpowiednich testów zbadać nastawienie młodzieży wobec Murzynów lub Żydów. Zaczęto od przedszkoli, w których pokazywano dzieciom obrazki przedstawiające grupkę białych dzieci, bawiących się w piłą, podczas gdy na uboczu stał murzynek, nie biorący udziału w zabawie, tylko smutno przyglądający się swym białym rówieśnikom. Pokazawszy i objaśniwszy taki obrazek, za-pytano dzieci, dlaczego murzynek nie bierze udziału w zabawie. 43 proc. dzieci amerykańskich (w danym środowisku) w wieku przedszkolnym bez wahania odpowiadało: „dlatego, że jest Murzynem, a z Murzynami nie wolno się bawić”. Dzieci z pierwszej klasy szkoły podstawowej odpowiadały na to pytanie podobnie, ale procent tych młodocianych rasistów był już wyższy, bo wynosił 67 proc., podczas gdy starsze dzieci w 75 procentach wykazywały świadomość swej wyższości, jako należących do rasy białej. Swą niechęć do dzieci murzyńskich uzasadniały takimi powiedzeniami jak np. że Murzyni kradną, są brudni, śmierdzą, zabijają białych, oszukują itd.

Skąd nabierają dzieci już w wieku przedszkolnym tych przesądów rasistowskich? Odpowiedź niełatwa. Działalność Komisji do Badań Działalności Antyamerykańskiej, propaganda prasy reakcyjnej, dyskryminacja

rasowa Murzynów, szerzona szczególnie w stanach południowych, przez partię republikańską — to zapewne skromny tylko zakres przyczyn, rozpalających historię rasistowską w Ameryce.

Szkola, jak widać ze skrupulatnie prowadzonych statystyk, nie tylko nie przeciwdziała tym przesądom, ale je jeszcze wzmacnia, gdyż procent dzieci niechętnie się odnoszących do swych murzyńskich kolegów wzrasta wraz z ich wiekiem. Pewna ilość pedago-

gów amerykańskich, głęboko przejętych przerażającym objawem szerzenia się przesądów rasistowskich, zakorzenionych u dzieci od niemowlęcego nieledwie wieku, postanowiła stworzyć przedszkola, w których by przeciwdziałano szowinizmowi narodowemu i rasowemu uprzedzeniom.

Czy te zyczenia nielicznej narazie garstki wychowawców amerykańskich odniosą pożądany skutek, nie wiadomo. Jest ich niestety niewiele, a faszystowska propaganda jest

silna. Już w najmłodszych latach wsącza ona jad faszystowski w umysł amerykańskiego dziecka, bezwiednie i nieświadomie. Dobrze w każdym razie, że choć ta garstka pedagogów uświadomiła sobie niebezpieczeństwo rozpleniania się tych chwastów nienawiści rasowej.

Zresztą nie tylko do Murzynów odnosi się ta dyskryminacja i głęboka niechęć obywateli amerykańskich. Te same statystyki mówią także o podobnych odruchach w odniesieniu do Żydów. Widzimy z nich, że antysemityzm jest coraz silniejszym zjawiskiem w Stanach Zjednoczonych, i że początki antysemitickich nastrojów również sięgają lat najmłodszych przeciętnego obywatela amerykańskiego.

I to wszystko w kraju, którego „demokratyczna” konstytucja gwarantuje wszelkie swobody wszystkim jego obywatelom, bez względu na kolor skóry, pochodzenie rasowe, czy wyznanie! Widzimy jednak, że między literą konstytucji a życiem codziennym jest wielka przepaść. Z troską należy się spytać, kiedy usiłowania postępowych ludzi zdolają wyrównać tę straszliwą przepaść między człowiekiem czarnym a białym, między Amerykaninem żydowskiego i nieżydowskiego pochodzenia. Obawiać się trzeba, że nie na wiele się zdadzą usiłowania garstki ludzi tzw. dobrej woli. Przemiany muszą przyjść inną drogą, drogą dogłębnych przemian ustrojowych, gdyż ustrój jest tu głównym winowajcą, dopuszczając do szerzenia się tych okrutnych i bezmyślnych przesądów rasistowskich, nie ustępujących wcale temu, czego świadkami byliśmy niedawno w okresie panowania hitlerizmu.

Klemens Oleksik

D Y M Y

Nic nie ginie w przyrodzie:

będąc dzieckiem — martwiłem się:

kto oczyści zadymione niebo?

Ojciec pracował żeby fabrykant był coraz grubszy

Matka dawała nam czasem na eukierki

(Masz żeby ojciec nie widział)

a były to srebrniki za które sprzedawała zdrowie

Mój Boże mój Boże

westchnąłbym gdybym wierzył w sprawiedliwość niebieską —

teraz już wiem: wiatr rozpuścił dymy nad fabryką

i słońce było

tylko długo nie mogłem go dojrzeć.

Edmund Niziurski

NA POLACH ELIZEJSKICH *)

Jeszcze nie zdołaliśmy podsumować krytycznie wszystkich literackich rozrachunków inteligentów, a już notujemy nową pozycję w kolumnie „winien”. Są to „Pola Elizejskie” Stanisława Dygata.

Tym razem jednak problem inteligencji rozłożony został szeroko w czasie i obejmuje trzy rzeczywistości: przedwojenną, wojenną i emigracyjną. Obiektyw pisarza przesuwają się szybko po różnych epizodach życia, nie zatrzymując się dłużej na żadnym wydarzeniu. Najdłuższe z opowiadań ma stron 16, najkrótsze niespełna 2. Dygat to lubujący się w krótkim pięciu emocjonalnym zamaskowany liryczny.

Lecz za to ileż w tych opowiadaniach skondensowanej treści. Niejedno z nich to śpiesznie notowany scenariusz monumentalnego filmu, propozycja nowoczesnego mitu lub szkic współczesnej Odysei. Dość wymienić „Zygmunta Czerwńskiego” czy „Żołnierza Anzelma”. Z każdego z nich jakiś nudziarz zeszłołeczny rozwałkowałby solidną powieść.

Postacie Dygata cenią wagę słowa, mówią mało, lecz rzeczowo, nawet jeśli się spowiadają. Sceneria, w której Dygat umieszcza swe postaci, jest zarysowana zwykle szkicowo. Nie ma zbędnych rekwizytów i statystów. Aktorów wystarczy jeden, dwu, jak w klasycznej tragedii, rzadko więcej. Jednego tylko autor nie szczędił swym bohaterom — masek komicznych i szminki.

W ten sposób osiąga Dygat sztukę wypowiadania się na gorąco, jednym tchem, jak w pośpieszonym reportażu. W doskonałej proporcji do tej formy wypowiedzi pozostaje styl, błyskotliwy, wartki tok narracji, redukujący do minimum opis i komentarz.

Lecz taka improwizacja literacka ma swoje, zapewne nieuniknione, ciemne strony. Jedną z nich to tendencja do uproszczeń.

Dzisiaj, kiedy realizm postuluje wypracowanie typów, łatwo może się zdarzyć, że pisarz nie dość ostro dojrzy różnicę między typem a modelem i idąc po linii najmniejszego oporu zamiast przedstawić typ, naszkicuje schemat. A różnica między nim — zasadnicza. Osiągnąć w literaturze realizm, to pokazać warunki, które typ kształtują. Jeśli zaś pokazywać postawy gotowe, postaci wyłuskane ze środowiska, niewytłumaczone obiektywnie przebiegiem zdarzeń, lecz takie, jakie zdawały się już gotowe w naszej wyobraźni, wtedy mamy do czynienia nie z typami, lecz z modelami psychicznymi.

Ludzie z „Pól Elizejskich” to przeważnie konwencjonalne manekiny, samooskarżające się i komentujące w myśl doktryny, która wyznaje autor, bezbłędnie pracujące automaty. Żeby sięgnąć po ich społeczną genealogię, po ich paszport życiowy, musimy zamknąć książkę i na własną rękę poszukać ich rodowodów. Wiadomo, że żołnierze od Andersa przesiadują w „pubie”, pali i pije, pokrzykuje „być, być” i zastanawia się nad swym losem. Lecz taką schemat już dawno utrwalił się w wyobraźni polskiego czytelnika. Model już znamy, chcielibyśmy raczej zobaczyć tworzący się w naszych oczach typ.

Schematyzowanie uchodziłby figurę drugoplanową, lecz gdy dotyka głównych bohaterów, staje się poważną skazą.

Pisarze-realiści za punkt honoru uważają wyeliminowanie siebie z opisywanej rzeczywistości, tak by czytelnik nie zdołał uchwycić żadnego ich osobistego gestu.

Inaczej Dygat. On sterczy ze swojej rzeczywistości literackiej jak peryskop łodzi podwodnej z morza, o całą długość swojego kapryśnego ja. To inteligent, który na rzeczywistość przywykł patrzeć nieco z góry. Ludzie i sprawy tego świata w ich codziennym wydaniu zdają się mu już opatrzyć, więc, żeby znów mogły bawić, gotów każdemu przyprawić śmieszny nos.

Dochodzimy tutaj do podstawowego zagadnienia twórczości Dygata. Do roli, jaką w jego utworach gra humor.

Jak zauważyliśmy, postawa pisarska autora „Jezióra Bodeńskiego” jest postawą egotyczną.

Nie mało mamy przykładów w naszej wojennej literaturze, że na inteligenta rzeczywistość okupacyjna podzielała jak dotkliwe szoki, wywołując charakterystyczny kompleks niepełnowartości, nieprzydatności i ułomności inteligentkiej postawy wobec świata otaczającego.

W „Polach Elizejskich” przejawia się jakby brak ufności Dygata do własnego obiektywizmu pisarskiego, paniczny lęk katechumeny realizmu przed grzechem wzniosłości i sentymentalizmu, i dlatego podobnie jak mnich dręczony pokusami — misie święconej wody, Dygat przygotował na swoim warsztacie kubek żartów i kpin.

Groteska i ironia Dygata to próba obrony przed brutalnym najazdem rzeczywistości, to wieża obronna, z której Dygat rozpatruje otaczający go świat, zabezpieczony się wprzód starannie. Jest to próba nie tyle opanowania rzeczywistości, ile jej literackiego zneutralizowania, tak jak kłowni cyrkowi unieszkodliwiają rozdrażnione lwy zasłaniając się krzywym zwierciadłami, gdzie oszołomione zwierzę ujrzy własną śmiesznie zniekształconą podobiznę.

Taka jest funkcjonalna rola groteski i humoru Dygata. Nie jest to „naturalny” humor realisty starego typu. Dickens czy Prusa.

Humor Dygata jest odtrutką na rzeczywistość, kłapą bezpieczeństwa chroniącą obiektywizm przed lirycznym ciśnieniem, buforem łagodzącym zderzenie z rzeczywistością, które nieuchronnie nastąpić musi. I następuje. 29 opowiadań na 200 stronicach „Pól Elizejskich” to ambitna i ryzykowna próba pokazania możliwie różnych wycinków niedawnej rzeczywistości.

Na płaszczyźnie rzeczywistości przedwojennej zbudowane są takie opowiadania, jak „Krag istnienia” i „Wizyta”, które można by zakwalifikować jako obyczajową satyrę na wielkomiejszczański świat.

Natomiast takie opowiadania, jak „Jesień”, „Czas przybliży, czas oddala”, „List”, a nawet „Kowalczyk II” zawieszono są w przestrzeni i czasowej próżni. Całą tę grupę można by nazwać mieszczańskimi spowiedziami, chyba, że znów nie weźmiemy ich zbyt na serio i potraktujemy wyłącznie jako próbę ośmieszenia mieszczańskiej mentalności. Na ten drugi sposób interpretacji wskazywałyby zwłaszcza końcowe ustępy „Jesieni” i „Listu”.

Otóż przedstawiając w „Jesieni” okaz wykoślawionego fizycznie i psychicznie osobnika Wincentego Pirtulki, który, cierpiąc na kompleks niższości, przez zawiść psuje niską intrygą szczęście szlachetnej i pięknej pary zakochanych, Dygat skazuje go na samobójstwo i zmusza do takiego wyznania: „Stałem nad mostkiem, patrzyłem w wodę i postanowiłem utopić się. Ale po chwili odepchnięto mnie...”

Ostatnie zdanie ośmiesza Pirtulkę, a my jesteśmy zaskoczeni takim rozwiązaniem dramatu. Dla większości czytelników będzie to zakończenie „nieliterackie”, nieuzasadnione zaburzenie efektu, nad którym autor pracował od początku. Zlikwidowanie tragedii w momencie kulminacyjnym przez nielejącą z powagą sytuację groteskę. Czytelnik czuje się oszukany przez autora, wywieziony w pole rzekomym, jak się okazało, tragizmem sytuacji, wstydzi się wzruszenia, na które sobie pozwolił, podczas gdy dla autora był to tylko pretekst do figla.

Zająłem się bliżej tym fragmentem, gdyż jest on typowy dla tego zjawiska, które Ryszard Matuszewski określa jako metodę artystyczną polegającą na rozbrajaniu atmosfery nalożonej problemem przez nagły zwrot ku grotesce.

Innego rodzaju próbą wydobycia się z bajora mieszczańskiego konwensu jest opowiadanie pt. „List”. Urzędnik Krupezyński pod wpływem odprężenia, jakie przynosi mu pobyt na wczasach, pisze list do kolegów, gdzie po raz pierwszy dosadnie rzuca im w twarz co o innych myśli. Tuż przed skrzykną pocztową zawaha się jednak, podre list, by napisać następnie konwencjonalne pozdrowienia, lecz z kolei niszczy i tę pocztówkę, i dopiero wtedy odzyska równowagę. Mamy tu jakby psychologiczne wychylenie w jedną i drugą stronę z pozycji inteligentnego bezruchu, lecz Krupezyńskiego nie stać już na urzeczywistnienie swojego buntu, zbyt już ugrzązł w marazmie życiowym.

Opisaliśmy wyżej wypadek kliniczny dość pospolity w naszej powojennej literaturze, który Wyka zakwalifikował jako odruch polegający na inteligentnym nawyku do kory-

gowania wszystkiego, co wydaje się autorowi w życiu niesłuszne.

Odruchem takim obdarza Dygat także „Kowalczyka II”, jedną z nielicznych postaci nieinteligentnych w książce. Jest to młody bokser amator, który w przystępie ataku szczeroci pozwolił sobie na krytykę kierownictwa klubu sportowego. W stosunku do tej postaci pozwolił sobie autor na odstępstwo od metody i na zaaplikowanie niestłumionego groteska wzruszenia:

„Kowalczyk II podszedł pod drzwi... zajął przez szybę... smuga światła zachodzącego słońca przecinała salę na ukos. Od okna do drabinek. W smudze światła wrował kurz. Chłopcy bezgłośnie, jak w niemym filmie, przerabiali skakanke, walkę z cieniem, pracowali przy worku i gruszcze. Jakżeż znajomy pomieszan zapach rekawic i potu. Odwrócił się szybko i odszedł. Szybko szedł ulicą.

— Taki duży, a na ulicy płacze — krzyknął za nim jakiś ulicznik.”

Dygat nie daje społecznej genezy swoich postaci, nie pokazuje determinujących je warunków. A jest to poważny brak. Bo czytelnik dzisiejszy może i powinien zagadnąć autora: to bardzo ładnie, ale dlaczego ci ludzie tak się zachowują i tak działają? Dlaczego Krupezyński nie wysłał żadnego listu, dlaczego Kowalczyk II musi się rozstać z klubem? Czy to było konieczne? Jak pan to tłumaczy?

A jeśli nie zapyta, to jeszcze gorzej dla autora. Oznaczać to będzie wtedy, że neurastenika Krupezyńskiego i poczucie honoru Kowalczyka II tłumaczy dostatecznie ich postępowanie.

Zalamanie się groteskowej rzeczywistości przedwojennej w chwili wybuchu wojny odśloniło w całej pełni beznadziejność społecznego bytu przedwojennego inteligenta. Inteligent, który jak Józio z opowiadania „Szosa Garwolińska” zdawał się panować nad rzeczywistością, ba, buńczucznie zamykał ją w swym terminarzyku, poczuł się nagle znikomym i zablakany wśród nieprzewidywanych wypadków, a w konsekwencji biernie zdawał się na bieg wydarzeń.

Podkład niejako teoretyczny i programowy dla opowiadań opartych o życie okupacyjne dał Dygat w bajkach „Filozof Panteleon” i „Król”, których pierwowzór znaleźliśmy chyba w filozoficznych powiastkach Woltera.

Filozof Panteleon, Joasia i Królewicz symbolizują tu część społeczeństwa, w której wojna wyzwala tłumione instynkty, wywraca pojęcia moralne. Lecz gdy wojna się skończy i odzyskają moc prawa dnia codziennego uosobione w królowej Matyldzie, biała wtedy takim wykołheńcom jak filozof Panteleon. Nie potrafia przystosować się do nowej rzeczywistości. Ich sytuację wyrażają słowa Królewicza:

„...Uciekajmy... Potym, co między nami zostało, boję się bardziej niż śmierci z rąk barbarzyńców powroto do pałacowych praw dnia codziennego.”

Dalsze zmiany wprowadzone wypadkami wojennymi to pomieszanie stanów, demokratyzacja społeczeństwa, bezpowne obalenie dawnego porządku społecznego. Przystają się liczyć dawne autorytety i dawne formy.

W opowiadaniu pt. „Król” urzędnik pocz-

ty, pozostawi króla, do którego zbliżył go przypadkowo katechizm, i pójdzie sobie „zobaczyć, co tam na świecie”.

Tezę o moralności kształtowanej przez byt rozwija dalej Dygat w opowiadaniu „5000 złotych”.

Inteligent oszust tak się tam tłumaczy przed swoją ofiarą:

„Nie jestem oszust z zasady... i oświadczam panu co następuje: panu brakuje do czegoś tych pieniędzy i mnie też! Teraz jest wojna i w ogóle. Gdyby na przykład była łapanka lub coś w tym guście, na pewno nie krepuwałbym się, by ratując siebie, stracić na przykład pana. Trzeba walczyć o swoje życie, jak się umie i Bogu dziękować, jeśli się jest silniejszym. Przed wojną tak nie myślałem, ale teraz inna sprawa...”

Gdy jednak okaże się, że nabrany jest ukrywającym się Żydem, zmieni to znów sytuację i owe inne prawa rządzące moralnością czasów okupacji spowodują, że oszust odda poszkodowanemu 5000 złotych ze słowami:

„Masz twojego piętaka. Masz... no i umykaj, żebym cię nie widział. Przed wojną, to stłukłbym ci mordę już choćby za to, że jesteś Żydem... A teraz... teraz... to inna sprawa”.

Niemniej interesująco przedstawia Dygat przekrój tzw. szarego dnia okupacyjnego, gdzie „wszystko jest nieprawdziwe” wyjąwszy ludzi pod murem strachu.

Słusznie przeprowadza Dygat tezę, że nie obozy, nie walka podziemna kształtowały zasadniczą psychikę obywatela GG, lecz właśnie te nieprawdziwe dni powszednie, codzienne warunki życia.

Groteskowo na tym tle wygląda kwiat inteligencji zebranej na koncercie RGO, usiłujący przez dwie godziny zapomnieć o zmorze okupacji i wytworzyć atmosferę przedwojenną. „Za dwie godziny wrócą na ulicę i pójdą na podnoszenie rąk, oklepywanie. Niektórzy pójdą dalej na rzeczy najgorsze i ostateczne. Ale tymczasem są jak książęta z bajki poprzemieniani w żaby, przez dobrą wrozkę przywróceniu na dwie godziny ludzkim postaciom.”

Jak zdążyliśmy zaobserwować, inteligent Dygata ma z reguły się samopoczucie i brzydzi się własnym środowiskiem. Nudzi się i błąka, kaprysi i dąsa. Lecz sam nie wie, czego mu właściwie brak. Autor również nie stara się tego dostatecznie wyjaśnić.

W społeczeństwie kapitalistycznym inteligencja stoi do dyspozycji klasy posiadającej. Nie będąc klasą, inteligencja nie posiada żadnej własnej ideologii. Jej ideologia to z reguły ideologia klasy, której służy. Tu ma swe źródło zaobserwowany przez Dygata niedowład ideologiczny inteligencji i jej zablakanie w rzeczywistości społecznej. Jeśli teraz miraż kapitalistyczny ulegną w czasie wojny rozproszeniu, jeśli ideologiczne frazesy mieszczańskiego świata zdruzgocze brutalna pięść wojny, jeśli przysną szkła, które inteligent nosił na nosie — zaczyna on chodzić po omacku. Błąka się i nudzi w zamkniętym kręgu środowiska, w którego cel i sens społeczny zwątpił.

Jak silny może być wstręt do starego środowiska inteligentki, pokazuje Dygat w opowiadaniu pt. „Ucieczka”, gdzie w interpretacji autora emigracja bohatera była nie tyle ucieczką przed warunkami życia okupacyjnego, ile raczej przed własnym środowiskiem, którego beznadziejność ta właśnie okupacja obnażyła. Zauważmy, co ukrywa się w humorystycznym przedstawieniu jako decydującego bodźca do ucieczki — wstręt przed udzielaniem lekcji angielskiego kabotynowi dr Kowalskiemu. Właśnie to obrzydzenie sobie środowiska, które dr Kopalski symbolizuje.

Kompozycyjnie opowiadanie „Ucieczka” stanowi przejście od rzeczywistości okupacyjnej do emigracyjnej.

Tu na tle panoramy kasyn, kawiarni, hotelów, paryskiego metra i bulwarów snuje dalej Dygat męt o zablakanej inteligencji, którego smutnym streszczeniem jest arcyzłota odyseja Zygmunta Czerwńskiego.

Ucieczka od własnego środowiska nie rozwiązuje bowiem problemu inteligenta. Inteligent szedł na tułaczkę wojenną, by móc „przeżyć wszystko od nowa inaczej”. Lecz wysuwa się nowe zagadnienie sensu podjętej walki. Czyż bowiem celem ma być tylko wyrzucenie hitlerowców z ulicy Żurawiej, czyli restytuowanie dawnego porządku? Przecież właśnie od takiej rzeczywistości uciekał. Po zakończeniu wojny i ułożeniu się sytuacji politycznej w sposób tak niespodziewany dla wielu, przed każdym stanie pytanie, co z sobą dalej robić. Ta dezorientacja prowadzi do silnej depresji przebijającej w opowiadaniu „Pola Elizejskie”. Oto rozmowa dwu byłych kombatantów:

— Jak się w ogóle czujesz?
— Świetnie. Dwa tygodnie temu po pijanemu przecinałem sobie żyły.”

Zarysowują się dwie postawy uwidocznione w obrazku pt.: „Piechur, lotnik, cywil i dziewczyna z Burmy”. Jedną powrócą do kraju włączyć się w rytm nowej rzeczywistości polskiej, dla innych, wrogów demokracji jak „piechur” wojna nie jest jeszcze skończona.

Tymczasem zaś będą zabijać czas spekulacją na czarnym rynku, oszukiwać się majakami o możliwościach hodowli zwierząt futerkowych w Kanadzie i zabawiać znużone tuziemki, coraz bardziej upodabniając się do cieni z Pól Elizejskich.

Tadeusz Kubiak

MIESZCZAŃSKI KONIEC ŚWIATA

Oto zwierzęta wskazują na nasze stoły,
które dotychczas były miejscem świętym.
Apokaliptyczne konie z kopytami.

Z raciami monstrualne krowy.

Oto stół poety szafniony jak dziewczyna.

Z czystego drzewa, zarzucony papierem,

z różą pośrodku, z różą którą wędnie,

która jest uosobieniem smutku

i poetyckiej wizji —

runął pod ciężarem natrętnych ciał.

Nie wytrzymały delikatne nożki.

Czerwone byki opuściły areny.

Stoją w drzwiach rozwartych wiatrem.

Ptaki przelatują z kąta w kąt.

Prości ludzie karmią konie kwiatami

wiedzącej róży ze stołu poety.

Doją krowy łagodne — uwiązane przy ścianie

do gwoźdźca, na którym jeszcze wczoraj

wisiła Madonna ze szczygielkiem.

Ich dzieci z gniazd uwitych na przedce pod sufitem

wybierają żółte, ptasie jajka.

Koniec świata, koniec świata —

przepowiadają sobie zrozpaczeni mieszczaństwo.

Zalamuje ręce poeta, któremu śnieżne kozy

ze zwierzęcą chciwością ogryzają manuskrypt.

Uciekajmy! — krzyczą biegnąc do drzwi,

by stanąć tam przed rogiem

czerwonego byka.

*) Stanisław Dygat, „Pola Elizejskie”, Wyd. Awir, Warszawa, 1949.

Wiersze z tomu „Człowiek jest blisko”, który ukaże się nakładem „Książki i Wiedzy”.

Józef Pogan

(Fragmenty powieści)

I

Już ciemnieć poczynało, gdy sołtys, nachylony nad stołem, notował w zamyśleniu jakieś imiona i nazwiska na kartce z zeszytu szkolnego. Podniósł głowę, odwrócił kartkę, bo oto wszedł Nalepa.

— Siadajcie sąsiedzie. Co powiecie?

— A co bym miał powiedzieć... Przyszedłem se trochę na rozrywkę. Nie ma widać kogo wyjąć na pogawłki, bo do jednego daleko, drugi znowu, jak na przykład Mordelak, zaharowany wciąż i ani wieczór nie posiedzi, u innego dopiero wczoraj był i tak dalej. A przecie nie pójdę do jakiegos zagoniarza, czy mielarza, bo to nie honor. Widzi mi się, żeś jakiś kwasny... pewnie coś niedobrego przeżywasz...?

— A niech Bóg broni, co ja już mam z tym urzędowaniem — zamachnął ręką sołtys. — Łeb mi puchnie od wszystkiego... Już dość od ludzi cierpie, a widać jeszcze więcej będę cierpiał.

— Cóż ta znowu się ściele?

— Co...? — wyjazd na roboty do Niemiec. Na nasze wieś Arbajtsamt wyznaczył trzydzieści osób.

— Których?

— Ogólnie wyznaczono. Ja mam zwołać komitet i ci dopiero będą pojedynczo wyznaczać.

— Hh, hm — chrząknął Nalepa — juźci szkoda każdego, ale coż robić? Jak mus — to mus. Jest przecie we wsi trzydzieści takich, co nie mają co robić, ino baki zbijają... nie pożyteczni ani sobie, ani komu.

— Niby tak. Ino każdemu przecie miłe życie... Nikt nie ma ochoty jechać pod bomby na gulasz. Czy tego się wyznaczy, czy tego — każdy mie będzie przeklinał i pomstował. A wyznaczyć mus, bo to surowo mam przykazane.

— A no, coż poradzić na to? Niemcy teraz panami.

Ktoś zapukał.

— Proszę, proszę.

— Dobry wieczór — mruknął spod nosa Pałtas, właściciel skromnego folwarku.

— Dobry wieczór panu, dobry wieczór — witał go sołtys. Dmuchał całą siłą płuc na blat krzesła i podsunął je do stołu. — Proszę, niech pan usiedzie.

— Chwilę tylko. Jest co nowego z gminy? bo zdaje się byliście dzisiaj.

— A zła panie nowina — ludzi do Niemiec będą brać — opowiedział po kolei jak Nalepa.

— To jeszcze nie tak tragicznie — mruknął chłodno Pałtas. — Tyłu się chyba znajdzie we wsi różnych złodziei, polityków spod ciemnej gwiazdy i różnych mądralów.

— Ja też tak myślę — odezwał się Nalepa — ino według mnie, to należy wyznaczyć tych, co nie chcą albo nie mają co robić we wsi.

— Niby dobra rada, tylko płytka w orientacji. I próżniak stanie się pożytecznym sobie i komu, gdy konieczność zmusi do pracy. Tymczasem owi mądrali, ci politycy różnymi absurdami balamucją społeczeństwo. Oczywiście, nie życzę im się fizycznej zagłady, a raczej duchowej poprawy. Ale jeśli już koniecznie musi się dać ten „kontyngent” — to w pierwszym rzędzie tych trzeba podać. Na mój miejscu i święty chyba by inaczej nie rozszedł tego.

— Proszę pana, trza pomieszać: trochę mądralów, trochę próżniaków.

— To rozumiałe — samych przecież wykołajonych mądrali nie ma tyłu.

— Juźci. Do komitetu trza powołać zaenych gospodarzy.

— I rozsądnych. Wy na przykład możecie być.

— I pan tyż.

— Ja się zawczasu zrzekam. Mnie z pewnych względów nie wypada. Sołtys powinien pomyśleć nad odpowiednim wyborem. Tylko nie palnijcie głupstwa, sołtysie.

— E, przecie on nie żaden komornik, nie mielarz, żeby źle zrobił dla wsi.

— Ja ta już mam głowę na karku nie ino od parady. Ino tak przeżywasz, że tyń łódź komendant poleci swej kochance Ganda dopilnować tych zapisów.

— Być może. Nic by jednak nie było w tym złego, wszak to nie spisy bydła, zboża itp., gdzie Ganda mogłaby zrobić pewne pociągnięcia na niekorzyść gospodarzy.

— Juźci tak — przyznał Nalepa.

— Nie wiadomo — zaprzeczył sołtys.

Nazajutrz zebrał się u sołtysa ów „licytacyjny” komitet, jak go wszyscy we wsi nazywali. Przeczenie sołtysa sprawdziło się — Ganda przewodniczyła. Członkami byli: sołtys, młynarz Sarek, Nalepa i Dziobak z należącego do sołectwa przysiółka. Ganda usiadła za stołem przeglądając wykaz mieszkańców wsi. Chłopi tymczasem stanęli pod ścianą i radzili przyciszonym głosem.

— Ja głupi jak tu poradzić — rozłożył ręce sołtys. — Ambajtsamt przeznaczył na nasze wieś za duża osób. Jak tu teraz zrobić, jak postąpić? To sek, a w seku dziura. Ludzie się będą złościć na mnie najgorzej, narzekać, przeklinać mnie i pomstować.

— Ja tyż głupi na to — wyrzekł Nalepa widocznie wstydząc się wobec innych utrzymywać poprzednie swoje stanowisko w tej sprawie.

— Ja tyż nic nie poradzę — wzruszył ramionami młynarz.

— Trza jakoś radzić — odezwał się Dziobak. — Trza przecie wyznaczyć kogoś.

— Juźci trza.

Usiedli na ławie.

— Więc radzicie, kogo wyznaczyć — zaczęła Ganda.

— Kogo? Ja nie wiem kogo by tu...? — stęknął sołtys.

— Co, nie ma kogo? — zdziwiła się Ganda.

— Brakuje we wsi ludzi? Szczerze mówiąc, to przynajmniej sto osób jest tu bez żadnego zajęcia. Mogą jechać do Niemiec, tam będą mieć pracę i chleb.

Spojrzeni sobie po twarzach. Dziobak odezwał się:

— Jeżeli mus zapisać — to trza biednych, bo tak sumienie i sprawiedliwość dyktuje.

— No juźci — dodał Nalepa.

— Trochę i tak — poprawił młynarz.

— Więc radzicie.

— Może tego... eee, jak on się nazywa...?

— Pochwalony Jezus Chrystus — wyrzekł stary Gębel wchodząc nieśmiało.

— Na wieki wieków amyn — odpowiedział mu młynarz. — Pewnieście się znowu ze złościem poswarzali i przychodzicie na skargę.

— Nie inaczej się stało — dodał sołtys.

— A juźci, panie sołtysie, chycił mnie dziś rano pod gardziel i potrasnął mną i zaprzysiągł się, że flaki zy mnie wytrzęsie jak długi taki bede — zalił się Gębel, a kiwał się jak pajak, a machał rękami, parskając ślinami, a uderzał się w pierś i przysięgał, że wobec złości nie zawinił. A jakież to ja jest, czy złodziej, czy zbroj, czy bandyta, czy awanturnik, czy pijak, czy zboreznik, czy niedobry katolik, czy do kościoła nie chodzę, czy sie nie modle, nie spowiadam, czy nie przysięgam do komunii świętej, czy nie pracuję, nie zabiegam o wszystko, czym nie upracowałem dla dzieci majątku, czy im nie chce dać jeść, czy im krzywdę robię...?

— Skończcie już te bolesną letanije — przerwał żartobliwie młynarz.

— Roześmiali się wesoło, a Gębel nie zwracając na to uwagi — ciągnął dalej:

— A jakże mam przestać, a jakże mam skończyć, a jakże sie nie mam zalić, kiej w duszy czuję boleść bez mała taką, jak ta Matka Boska pod krzyżem, ino sołtysie proszę posłuchać, to powiem, o co to dzisiaj rano poszło i sami zauważycie, że ja mam świętą rację i zrobicie coś ze złościem, bo ja już dłużej nie ścierpie, nie zboleje tego, bom ledwie dziś przyszedł z kościoła, bo niewymawiający, byłem dziś u spowiedzi święty i przyjosem Pana Jezusa, a diabeł już czekał na to, bo chciał piekła w rodzinie i podkusił złością do złości...

— Ale o co wam poszło? — niedcierpliwił się sołtys.

— Ano, przychodzę z kościoła, a tu moja stara chodzi z płaczem i szuka jakek w szopie, bo kury pogubiły, ale nikaj żadnego jajka nie znalazła i ja jej kazał szukać w zięciowej szopie i babisko poszło i szuka, i płacz, i zali sie na wnuków, że porwali jajka, bo tak robią i porywają zawdy na papierose, bo to zuchwał jak i jej ojciec, a zięć jak usłyszał, tak wypadł oświecknięty do mojej babi i zaczon ją przezywać brzydko i kłać, i pazyrować, więc ja sie musiał ująć za swoją babą i odcionem sie zięciowi, a on hyc do mnie i łap pod gardziel i dusi, i klnie, że mie musi zakatrupić.

— Jak sie zakończyło, gadajcie?! — zirytował się sołtys.

— A pieronami, a cholerami i przezwiskami na mnie i na tych, co sie modlą i na księży i Bóg wie na kogo jeszcze, zem se już uszy zatkali i uciek do chałupy, wzdychnął se do Boga i do wszystkich świętych, przeżegnał sie krzyżem świętym, upad na kolana przed świętymi obrazkami i rozpłakał się gorzkimi łzami, że to za moje ciężką pracę tak na starość mną zięć i wnuki potrują...

— Psiakrew, już dość! — zaklął sołtys. — Nagderaliście, żeby ani na byczę skórze tego nie spisał! Tam by was wszystkich uspokoił, ale by trza posłać policjanta Pałka, żeby tak wlepił w tyłek zięciowi najmniej dwadzieścia pięć razy, a wam ze sto, to byście się uspokoił!

— A za coż zaś mnie, panie sołtysie? cheba, że jak Pan Jezus pedział, że niewinny za winnygo, pan za grzyzne sługi...

— Cichoście, bo mnie już diabli biera! Wyństwo sie!

— Pochwalony Jezus Chrystus — rzucił Gębel krótkie pożegnanie i wyszedł pośpiesznie.

— Faryzeusz — mruknął pogardliwie sołtys.

— Zięć mało lepszy — odrzekł na to młynarz. — A te jego chłystaki zuchwał jak cholera. Rozpieściło sie to pare lat bez matki i teraz macosze i dziadkom ani na krok nie ustapia.

— Po ile lat mogą mieć ci chłopcy? — spytała Ganda.

— Jedyń może ze styрнаście, a drugi przeszło piętnaście.

— Więc bierzemy ich pierwszych na listę, kiedy nie mają matki i nie mają z czego żyć. A tym bardziej, że zuchwali. W Niemczech będą mieli pracę, chleb i lepsze wychowanie.

Przejrzała spis mieszkańców wsi, po czym nakreśliła dwa sieroce nazwiska. — Kogo po kolei? — spytała.

— Cheba Bąbasów ze trzech, bo nie mają z czego żyć, a mądrali straszne — przypomniał sołtys. — I politykiery.

— I kogo jeszcze?

— Może Kurzkowigo.

— Dalej.

— Może mądrali Malskiego.

— Na nic, bo on strażak — odrzekł sołtys.

— Strażaków zakazano ruszać.

— I jeszcze.

— Parzelkowigo, bo matka wciąż narzyka, że jej bieda.

I tak kolejno „macali”, kto biedniejszy, kto politykuje, kto niepotrzebny na wsi. Zapisali dwadzieścia pięć osób.

— Dość już — oświadczył sołtys. — Nie musimy zaś tak Niemcom dogadzać — szepnął do Nalepy.

— Jeszcze pięciorko brakuje według nakazu — odezwała się Ganda.

— Wystarczy tyła. Niech no ci pojedają, to będzie dość — poparł sołtysa młynarz.

— A pojedają to! Ucieknij wszystko w las. Ale choć my byśmy w porządku, bo my spełnili nakaz.

— Juźci, juźci... A ludzie niech ta już robią co chcą... niech se głowy urywają — szepłali do siebie gospodarze opuszczając mieszkanie sołtysa.

II

Rano w chacie Bąbasów było smutno. Jeden chłopak płakał, drugi zgrzytał zębami i kłał.

— Psiakrew! już nie ścierpie dłużej tymu skurczybykowi. Pojde do niego, powiem mu po dobroci, żeby postarał się o zwolnienie matki! A jak nie — pieron go strzeli na miejscu w samo serce!

— Dej spokój — łagodził go brat. — Matka chorowita, to ja może puszcza. Narobisz awantury z nim i jeszcze co gorszego na nas spadnie.

— Co gorszego może spaść? Dwóch nas ino jeszcze zostało z całej rodziny...! Jeszcze trza gorzej...? Przed wojną zaczęli nas mordować, a teraz dokończają... Matka sie tam dotrąci na posterunku w piwnicy, bo ją będą trzymać, żeby my sie za nią wstawili. Psiakrew! Nie ma życia i nie będzie! Ale zaczynam nas diabli wezną do reszty — pierw tego skurczybyka zgładzę! Już mi wszystko jedno! Albo postara sie o zwolnienie matki, albo trrrup! mogiła!

Wyszedł na drogę. Zgrzytał zębami, zacinął wargi, zrenice na zacerwienionych od bezsenności białkach świeciły dziko. Przemierzał drogę przed dom sołtysa i z powrotem. Czasem zagwizdał żalonną melodię.

Może przez pół godziny nie dostrzegał nigdzie sołtysa. Wrócił do domu, posiedział chwilę i znow wyszedł. Brat nie mógł go uspokoić.

Sołtys otworzył furtkę i zawrócił na drogę. Postąpił kilka kroków i stanął. Bąbas szedł szybko ku niemu.

— Kaj moja matka? — spytał głosem, w którym brzmiała nuta bólu i wściekłości zarazem.

— Cóż się tak głupio pytasz, kiebym ja był stróżem twojej matki? — otwarił gębę sołtys.

— W masłance sie utopiła, wiesz!

— Wróci zaraz matka, czy nie?! — spytał ostro i wyzywająco.

— Idź sie spytaj w Arbajtsamcie.

— Arbajtsamt to był po nią, ino wy?! —

— Co chcesz ody mnie?! Ja ci matkę zabrał...? A powieściec mie wszyscy.

— Pieron cie strzeli jak mi matki nie wrócisz!

— Kogo?! Mnie?! Za co?! Uważaj, żebyś nie poszedł za matką!

— Uważaj, żebyś utrzymał łeb na tym tłustym karku!

— Wynocha stąd, bo źle będzie z tobą!

Bąbas skoczył do niego. A zgrzytał zębami i trząsał się jak w febrze. — Choleraaa! jasny pieron cie strzeli.

Sołtys skoczył za furtkę. Bąbas zatrzymał się. Stał na drodze rozwieszczony, machał pięścią, tupał nogami i kłał:

— Jak tu stoje! jakem żyw nie podaruję ci! Nie chodzi mi o życie...! niech mie raz pieron strzeli na tym świecie, ale ciebie naucze! Wy cholerne Łupiki, chcecie nas już wymęczyć!

Przez was zabili nam ojca, a teraz jeszcze matka was mierz! Na waszym chlebie sie chowa, co?! Zabrali nam już trzech bratów i jeszcze mało?! A weźcież całą naszą rodzinę potopicie, albo kaźcie wystrzelać! Niech mie krew zaleje! niech sie stanie ze mną co chce! — nie daruję ci tego jak mi matka nie wróci! Popamiętajcie Łupiki, czym Bąbas pachnie!

— A g... pachniesz, wiesz! Ty mie popamiętasz za napad! Przyjrzyjcie sie ludzie, kamienia na mnie porwał! — zwracał się do zbiegających się już sąsiadów. — Tyn zbroj tu przypad bić mie! na mnie sie rzucać Ty s... synie! ja cie naucze! ja cie wyruchtuje!

— Jużes całą naszą rodzinę wyruchtował, a teraz ja cie wyruchtuje! Jak tu stoje! — nie bedziesz chodził po świecie!

— Nasłuchajcie sie ludzie, zabójstwo mie odgrza! Może chałupe mi spalisz, co?!

— Podpalatyb, zabijałbyś! żeby ci sie ino dało — wtórowała stara Łupikowa. — Zabiliście Kurczka! spaliłiście Kurzkowi stodołę! Spalacie! zbroje! bandyty! Ale teraz nie to co przed wojną! Nie bedziecie spalać i zabijać!

— A nuże kamieniem w morde te wojenną wielkość — padł głos z grupy chłopaków.

„Zatrzepało” sołtysiem, rozdał się, rozdarł gardło na całą parę.

— Choler! co ci ludzie chcą ode mnie?! Wszyscy wrą na mnie, kieby ja wydał wojne na świecie! Gospodarzom krzywduje sie, dawac kontyngenty! jeżdżąc na podwoły! dziać co znowu sie krzywduje jechać do Niemiec! Czy to ja sam za całą wieś bede dawał kon-

tyngenty, albo do Niemiec za wszystkich pojade?! Do pieronaaa! ludzieee! co wy chcecie ode mnie?! A ty zbroju! spoliczu! — wygrażał Bombasowi — pożalujes! pożalujes! Choćbyś do ziemi sie wrył jak tyn kret — nie ujdiesz! Jak Boga kocham! jakim katolik! — nie daruję ci! nie daruję! Ludzie upamiętajcie sie, bo wiecie co teraz jest. Siedźcie cicho, nie słuchajcie buntowników!

— Znajdzie sie lykarstwo na buntowników! znajdzie! znajdzie — sekundowała Łupikowa. — Są tu jeszcze inni buntownicy! Tyn Pszczółka bezbożnik, duża dowodzi we wsi! Tyle ino, co nie zabija i nie podpala, ale zaburzynia robi!

— I on dziad ma czas jak sie nie poprawi! nie przestanie pyskować! Z litości, że to ma starą i chorą matkę na utrzymaniu, ochylało go sie dotychczas! Jak sie nie poprawi, to jeszcze popłacze nad swoją głupotą! Cholerny dziad! nie pomyśli se, że teraz należy trzymać krótko pysk, ino mu politykowanie w łebie szumi!!! jakiesik ideologie!!!

Pszczółka stał opodal wsparty o płot. Już wpiwer drażniły go krzyki Łupików, a teraz przesyłyły go na wyłot.

— Nie ścierpie już... wyrabie mu kazań... — wyrzekł do któregoś z chłopaków — Tylko nie ujmuje sie za mna... nie narażajcie sie, choćby mie nawet bił.

Postąpił kilka kroków i zapytał nerwowo: — Sołtysie, co wam te dziady i ja tak bardzo zaskórzyli?

Sołtys wywalil oczy i podniósł pięść: — I tyś sie przyplątał na dodatek! Won mi z oczów, nie napastuj mie!

— Jak to w czym zaskórzyli! — ruszyła językiem Łupikowa. — A socjalizym! komunizym! bezbożnictwym, buntowanim ludzi! Mało lepszy od tych zbrojów!

— Wy dranie! faryzeusze! świętoszki obrydyle! — wrzasnął Pszczółka. — Przed wojną trześliście wsią i teraz też! Zawsze z kimś trzymacie przeciw biedocie, aby tylko z tego mieć korzyść! Niemców nienawidzicie, a z okrutnikiem komendantem trzymacie sie za ręce! Wydiliście Żydów, doicie gospodarzy! biedakami po prostu orzecie! Dom sobie z ludzkiej krzywdy wybudowaliście! Ale pamiętajcie, że wnet i okrutnych Niemców pieron strzeli i Sobaka, i Gande, i was, i wszystkich szwabskich lizoniów!

— Wieszac się będzie tych skurczybyków! — wrzasnął Bąbas.

— Ła! ła! ła! ła! ła! ła! ła! — wtórowała Łupikowa zagłuszając tamtych.

— Was pieron strzeli! bezbożniki! komunisty! — krzyknął ochryple szewc.

— Kto doł Żydów?! — rozdarł gardło sołtys. — Żeby cie tak nagła krew za to zalała! Może i ja tyż ich oskarżył i podzielił sie jeich majątkiem?! — jak wszyscy pyskujecie! Zrobili Niemcy rewizję w mieszkaniu parcha Lisa w Krakowie i tu w trop za nim przyjechali! Zali ci pewnie tego parcha, co?!

— Ssałes Żydów, rozdepta pijawko! Ssiesz gospodarzy! Z biedoty krew i pot wyciskasz!

— Rany Boskie... ale mu rabie prawdę w ślypia... nic sie nie boi... — szepłali stojący wokół ludzie.

Wtem nadbiegł brat szewca. Sołtys nabral odwagi i jak rozjuszony byk rzucił się na Pszczółkę miotając ciosy obiema pięściami. Pszczółka kropnął go na odlew i za gardziel ułapił. Szewc skoczył z rasplą w rękę. Bąbas ułapił go lewą ręką za przegub, a prawą trzasnął w policzek. Brat szewca rzucił mu sie na ratunek. Łupikowa i dzieci sołtysa wrzeszczały „kieby ik ze skór łupii”. Obie pary (z doczepką brata szewca) charczały i tłamsiły się jak psy. Tłukł Bąbasą zażarcie, że nie mógł ich pokonać. Runeli „kupa mięsa” na ziemię. Tamci trzymali sie wzajemnie za gardziele, dusili się i trzaskali. Sołtys walił po pysku, Pszczółka z wierzchu przez łeb. Przywarli się do płotu, aż kołki trzasnęły. Przewalili się na sad.

Znow nadbiegł drugi Bąbas.

— Porozrywac ich, bo sie pozabijają! — krzyknął ktoś wśród zbiegowiska.

Może sześciu, czy siedmiu chłopów rzuciło sie między zapaśników. Z trudem porozdzielali ich i poodpychali od siebie. Bąbas i sołtys szarpali sie okropnie, po prostu szaleli z zapalczywości. Sołtys dyszał, parskając pianami, machał rękami, niczym gęsior skrzydłami. Bąbas szarpnął kołek z płotu i z sykaniem: „zaślakuje go” — rzucił się jak opętany. Szewc charczał, tupał nogami, aż go „zakrzusliło”. Pszczółka stał jak zakłety trzymając w pogotowiu drzącą pięść. A Łupikowa klekotała siarczyście niczym praczką nad strumykami.

Chłopi nie dopuścili zapaśników do ponownej bójki. Rozpychali ich i łagodźli jak mogli. Udobruchali sie jakos. Sołtys jeszcze parskając pianami, uderzał się w pierś i przysięgał:

— Przyoblek sie teraz w inną skórę...! zastosuje rygor!!! Poznaćcie mnie zbroje...! poznaćcie! poznaćcie!

Po drodze, po sadach ludzie szepłali se po cichu:

— Znaleźli sie przecie odważni, co sie nie lekają sołtysa... Pszczółka mu wyrabiał, że hej. Niech mu Pan Bóg da za to zdrowie, bo dodał całej wsi odwagi... unijeli sołtysa. Byłoby tyż co wołać na tego drania, było, żeby sie tak człowiek nie bał. Ale coż, kiej on teraz panem we wsi... Wola, że on nie będzie za całą wieś oddawał kontyngenty... Przecie z kontyngentów to on sie bogaci... Ma on tyż teraz żniwa, ma. Gospodarze dają mu łapówki, biedni robią za darmo, a on ino żyje dobrze, pije gorzałę i ryczy na ludzi jak wół...

Władysław Borkowski

(Artykuł dyskusyjny)

O zagadnieniach teatru świetlicowego^{*)}

Z początkiem lipca odbyła się w Łodzi z inicjatywy Zarządu Głównego Związku Zawodowego Włóknarzy ciekawa dyskusja poświęcona zagadnieniom repertuaru świetlicowego. W tygodniku „Więść” ukazał się artykuł dyskusyjny o amatorskim teatrze robotniczym. „Kuznica” i „Odrodzenie”, jak również krakowski „Dziennik Literacki”, zamieściły szereg notatek lub artykułów sprawozdawczych o imprezach zespołów świetlicowych. Poprzednio, w numerze czerwcowym „Nowych dróg” — organie KC PZPR, ukazał się dłuższy artykuł p. Marii Czanerle o teatrze amatorskim i jego roli w radzieckiej twórczości kulturalnej.

Tym samym przełamano obojętny dotychczas stosunek naszych oświatowców do spraw repertuaru świetlicowego, a przede wszystkim do samego zagadnienia teatru świetlicowego.

Pierwsze półrocze roku bieżącego obok pocieszających niewątpliwych osiągnięć połączonych scen świetlicowych przyniosło nam również wiele wiadomości smutnych. Tak na przykład, w Łodzi wybudowaną przez Okręgową Radę Związków Zawodowych scenę z piękną widownią w domu Związków Zawodowych uznano za małą scenkę, nie posiadającą żadnych urządzeń teatralnych — więc za nie nadającą się do celów teatru świetlicowego. Nie stało to na przeszkodzie w aklimatyzowaniu się w tej samej sali i na tej samej scenie zawodowego teatru „Melodram”!

We Wrocławiu zlikwidowano jednym pościąganiem pióra doskonale zapowiadającą się „Operę robotniczą”. W Łodzi zabroniono jednemu z zespołów świetlicowych wystawienia sztuki Gorkiego „Na dnie”. Decyzja zapadła po interwencji dyrektora TWP w Łodzi, który, jak to podał „Dziennik Łódzki”, sam przygotował się do wystawienia tej sztuki. Zespół tramwajarzy, jeden z najlepszych w Polsce, na czele którego stał jeden z najstarszych reżyserów, uczeń wielkiego Stanisławska — rozpadł się.

Faktów tego rodzaju można by zresztą przytoczyć znacznie więcej. Po nich w środowisku świetlicowym pozostał niesmak i zgrzyt. Popelnionych na tym odcinku błędów nie poprawiono. Na wiele udanych prób teatru świetlicowego w zakresie przyswojenia tak zwanego repertuaru wielkiego odpowiednie czynniki kierujące polityką świetlicową nie zwróciły uwagi. Natomiast szersza publiczność zareagowała na nie bardzo żywo dowodząc tym samym konieczności popierania żywotnych placówek teatru upowszechnionego.

Z tym upowszechnieniem nie mieliśmy łatwego startu. Brak zrozumienia ze strony czynników — zdawałoby się — do współpracy z teatrem świetlicowym powołanych zawsze utrudniał akcję umasowienia. Może właśnie dlatego mało kto wie o tym giganty, czynnym wysiłku woli i pracy, dzięki któremu udało się dokonać w przeciągu zaledwie lat czterech wielkiego dzieła stworzenia podwalin pod upowszechnioną scenę ludową. Dzięki szeroko rozbudowanej sieci scen świetlicowych stworzono potężny czynnik wychowania społecznego o znacznym zasięgu działania, zasięgu, o którym nigdy nie śniło się teatrowi zawodowemu. Tym samym już na pierwszym etapie wielkiej ofensywy kulturalnej obok podjęcia walki z analfabetyzmem, obok akcji popularyzacji książki i prasy, również na odcinku upowszechnienia sztuki (przez duże „S”), — ruszono do natarcia. O tych rzeczach nie zawsze pisze się w prasie, repertuaru świetlicowego nie reklamuje się przecież w ogłoszeniach zamieszczanych na łamach dzienników. Na ulicach nie spotkamy afisza teatru świetlicowego.

*) Patrz „Więść” nr 28: Paulina Czyżowa — Amatorski teatr robotniczy.



Zespół świetlicowy PZPB Nr 4 (Lubań)

Z ukrycia działa natomiast szeroko zakrojona, nie zawsze być może świadoma swych czynów akcja zwalczania najzdrowszych tendencji rozwojowych teatru świetlicowego. Mówi się więc szeroko o tym, że świetlica nie powinna sięgać po „święty” repertuar teatru zawodowego, że świetlica nie powinna „dublować” teatru „prawdziwego”.

O skutek w tych warunkach nie było trudno. O nim powiedzieliśmy już wyżej. Zlikwidowana opera we Wrocławiu, smutne dzieje „Powodzi” na jednej z łódzkich scen świetlicowych, bolesne skrzywdzenie zespołu tramwajarzy łódzkich M.Z.K., sprawa „Na dnie”, „Moralności pani Dulskiej” itd. itd.

Rozmawiałem wczoraj z pewnym kierownikiem świetlicy. Był trochę zdenerwowany. Opowiedział mi o niezbyt łaskawym traktowaniu poziomu zespołów świetlicowych i publiczności teatrów świetlicowych przez „AGTIR”. Jest to taka agencja teatralna i filmowa. Otóż z okazji 150 rocznicy Puszkina wydano dla świetlic jako program nr 5 montaż literacki o Puszkynie. (Podobnie był przedtem jeszcze montaż tego samego typu o Mickiewiczu). Jest to dość osobliwy rodzaj, jeśli można powiedzieć — „twórczości” przeznaczonej dla świetlic polskich. Gdy kierownik świetlicy przeczytał scenariusz montażu zespołowy, zespół rzekł się przystąpienia do prób.

Oto początek montażu (dosłownie).

JANEK: Przerwa, Kasiu. Wychodzę na dwór.

KASIA: Zaczekaj chwilę. Nie wiesz czasem jaką uroczystość mamy jutro w świetlicy?

JANEK: Jakaś rocznicę Puszkina... zdaje się 150-lecie urodzin.

KASIA: A co ty wiesz o Puszkynie?

JANEK: A to że był rosyjskim poetą.

KASIA: Iii. To i ja wiem ale chciałabym usłyszeć coś więcej.

JANEK: Zapytamy któregoś ZMP-owca.

KASIA: Najlepiej Stacha.

JANEK (woła w głąb sceny): Stachu, chodź-no do nas. (Na scenę wchodzi Stach).

JANEK: Powiedz nam coś o Puszkynie i jutrzejszej uroczystości, bo my nie wiele wiemy...

STACH: Chyba żartujecie...

Przytoczyłem wyżej urywek wzięty z początkowej sceny „montażu” na chybił trafił. W tym samym stylu utrzymany jest on od początku do końca. Tekst podobnych popisów montażowych pewnych autorów świadczy przede wszystkim o całkowitym niezrozumieniu środowiska świetlicowego, o całkowitej ignorancji autorów montażu w sprawach życia świetlicy, życia i składu zespołu świetlicowego.



Kalisz — świetlica bielarni

Bajeczki dla miłych dzieciaków opowiadane przez różnych Janków i Kasie trzeba zostawiać na progu świetlicy. Świetlica nie potrzebuje ani szmiry zrobionej „pod poziom”, ani żadnych „sztuk” obliczonych na poziom normalnego krety.

Montaż sceniczny na scenie świetlicowej — to bardzo odpowiedzialna forma sztuki teatralnej. Droga montażu scenicznego nie prowadzi również przez żaden „kram z piosenkami”, jakby barwnie, jakby wzrokowo pięknie nie był on pomyślany.

Mam tu na myśli inny rodzaj montażu świetlicowego, propagowany tym razem ze sceny TWP w Łodzi. Dyrektor Leon Schiller handluje swymi piosenkami z kierowniczką świetlicy, zachwalając do użytku na scenie świetlicowej swój „wyborowy” towar. Marian Piechal dowcipnie odpowiedział Schillerowi w swej recenzji, jedynej jaka się o „Kramie z piosenkami” ukazała: „jeżeli to mają być przykładowe wzorce w świetlicach młodzieżowych i fabrycznych — to nie chciałbym brać odpowiedzialności za atmosferę moralno-obyczajową tych świetlic w najbliższym czasie”.

Montaż świetlicowy — to najodpowiedzialniejsza być może forma inscenizacyjna, forma o głębszej treści społecznej.

Janek i Kasia z montażu ku czci Puszkina kropka w kropkę przypominają postaci konferansjerów z schillerowskiego „Kramu z piosenkami”.

Nie tędy jednak, zdaje się, prowadzi droga do upowszechnienia kultury i wprowadzenia elementu demokracji na deskę sceniczną.

Moja sąsiadka (świetliczanka) powiedziała podczas premiery „Kramu z piosenkami”: „Ja rozumiem. Dziewczyny, krzaki krakowskie na warszawskich Bielanych. Oficer — uwodźciel. Ale na miłość boską, co to ma wspólnego ze świetlicami i dniami dzisiejszym?”

Do końca w teatrze nie wytrzymała. Wyšla po bardzo budzącej scenie z kankanem.

Nie zatrzymałem jej. Gdyby jednak pozostała, powiedziałabym jej, że nie jest to żaden montaż świetlicowy. Ze jest to rewia lumpenproletariatu i zdegenerowanych typków z okresu kankanowego. Ze jest to nie życie, które pragniemy pokazać na naszych scenach świetlicowych, ale fałsz. Ze scena świetlicowa to scena wielkich i pięknych rzeczy. Niestety, z łamów niektórych wydawnictw, w piątym roku po odzyskaniu przez Polskę niepodległości wydawanych, dowiedzialaby się o czymś wręcz przeciwnym.

Okazuje się więc, że dyskusja łódzka była bardzo potrzebna. Sytuacja na odcinku repertuaru świetlicowego pozostawia bardzo wiele do życzenia. Prawie powszechne niezrozumienie zadań sceny świetlicowej, ostre ataki na repertuar świetlicowy — oto smutny obraz rzeczywistości.

Czy dotychczasowa polityka repertuarowa teatrów świetlicowych szła po właściwej linii?

Oto we Wrocławiu pokazano nam „Flisa”, w Katowicach „Dobrze!” — Majakowskiego, w Częstochowie „Karpackich górach”, w Łodzi „Matkę”, „Powódź”, „Świętoszka”, „Klub kawalerów”, „Pan inspektor przyszedł” i wiele innych.

W Zielonej Górze, Żyrardowie, Bielsku, Bielawie, Krakowie, Lublinie, wszędzie rozwijała się praca zespołów świetlicowych. Oto fragmenty repertuaru jednego z takich zespołów — zespołu świetlicy PZPB Nr 1 w Bielawie:

Wystawiono doskonały montaż „Zwycięstwo pokoju”. Inszenizowano „Kwiaty polskie” Tuwima. Pokazano Montgomeriego „Dzień bez kłamstwa”, Kraszewskiego „Chętę za wsią”, szereg komedii Niewiarowicza, w tym również „Ich dwóch”, „Gdzie diabeł nie może”, T. Holuja „Dom pod Oświęcimm”, Fredry „Gwałtu co się dzieje”. Przed-

stle’a — „Pan inspektor przyszedł”. Ze współczesnego repertuaru radzieckiego — „Tu mówi Tajmyr” — komedię Isaiewa i Galicza.

Na wystawie darów dla II Kongresu Związków Zawodowych uwagę zwracających zwracał piękny album zdjęć z tych przedstawień na scenie tak dalekiej od Warszawy i Łodzi, małej, przez wszystkich zdawałoby się zapomnianej Bielawy.

Album ten był podsumowaniem pierwszych zaledwie kroków na szerokim froncie ofensywy kulturalnej, tym razem na odcinku teatralnym.

Podobno jeden z uczestników ostatniej konferencji kulturalno-oświatowej w Centralnej Radzie Związków Zawodowych mówił z rozpaczą o repertuarze świetlicowym, zwrócił się do zebranych z pytaniem: — I powiedzcie, towarzysze, co można zrobić z nieśmiertelną pozycją naszego teatru świetlicowego. — „Panna rekrutem”?

Z końca sali dobiegł głos basowy:

— Wydać babę za mąż!

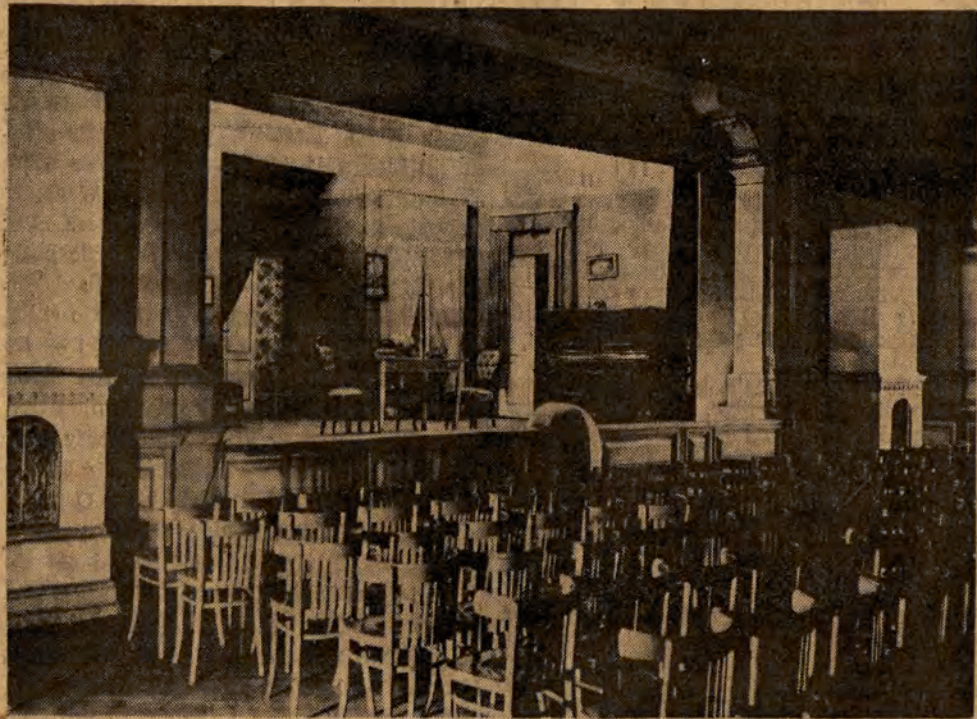
Otóż trzeba stwierdzić obiektywnie, iż „Panna rekrutem” już znika ze sceny świetlicowej. — A razem z „Panną rekrutem” znika bezpowrotnie „Żyd w beczce” i inna pseudo — świetlicowa szmira.

Świetlica zaczyna korzystać z właściwego materiału repertuarowego, z bogatego skarb. nicy tak zwanego „wielkiego repertuaru”, a przede wszystkim repertuaru klasycznego.

Wiele u nas pisze się i mówi o zagadnieniach teatru robotniczego.

Zdaje się jednak, że warto byłoby zastanowić się przede wszystkim nad tym, czy istnieje, czy może istnieć teatr robotniczy?

Mam wrażenie, że nie istnieje i nie może istnieć żaden teatr, żadna scena robotnicza w takim znaczeniu, jak pojmuje jej pewna część naszej inteligencji.



Sala teatralna

Fot. A. Oracz

Gustaw Tomala

O MŁODZIEŻY NASZEJ GMINY

Nasza gmina leży w radomszczańskim powiecie. W latach międzywojennych rzadko kiedy słyszało się, że ktoś spośród licznej młodzieży acy się na poziomie średnim. W ostatnich latach przed minioną wojną zaledwie 5-6 młodych chłopów rocznie dostawało się do szkół średnich. Jak na ogólną liczbę 7 000 mieszkańców gminy — cyfra zastraszająco mała. W tamtych warunkach ukończenie 7 klas szkoły powszechnej uważano za rzadki sukces. Tych kilku szczęśliwców — to byli synowie bogatych chłopów. Chodzili przed wojną do gminy wieś, że jeden z jej mieszkańców studiował na uniwersytecie, ale to chyba legenda, bo tak naprawdę to nikt go na oczy nie widział.

Młodzież średniacka ta, która nie mogła znaleźć pracy na rodzinnej parcelce, chwytała się rzemiosła. Lecz skutek najczęściej był taki, że we wsi uprawiano rzemiosło kilku kowali, kilku cieśli, krawców czy stolarzy. A więc — jak na potrzeby — zbyt mało. Stąd też nasi rzemieślnicy przechodzili do rzemiosła wędrownego. Smarowali w okolicy dachy smołą, wyrabiali koszyki i miotły, które zbywali, gdzie się dało. Inni znowu łapali psy i koty, przetapiali je następnie na smalec dla chorych na gruźlicę. Zawód wiejskiego hycła był w naszych stronach dosyć powszechny przed wojną. Pewna część młodzieży uprawiała kłusownictwo w okolicznych lasach. Nie jeden też chodził do miasteczka do miasteczka wołając rozpaczliwie po podwórkach — garniki lutuję, ostrzę noże! Tak było z młodzieżą, która mogła otrzymać pieniężną odpłatę na wyjście w świat. Pieniądze pozwalały uruchomić jakiś warsztat, zakupić narzędzia pracy. Rzadko jednak kiedy taki wędrowny rzemieślnik docierał do szkoły. Jego oświata zamykała się w kregu 3-4 oddziałów miejscowej szkoły powszechnej. Później już musiał zarabiać.

Najgorsze warunki miała młodzież bezrolna i małorolna. Stanowiła ona w gminie około 30 proc. ogółu. Młodzież ta wyjeżdżała rokrocznie z naszej gminy na roboty sezonowe za granicę, chodząc do najbliżej lat na służbę do bogatych chłopów, lub wynajmowała się do różnych ciężkich prac: młocki, kamieniołomów, karczowania lasu czy wyrabiania torfu. Tu nie było nawet mowy o ukończeniu szkoły powszechnej. W wielu wypadkach 2 oddziały stanowiły wykształcenie. Po kilku latach stawali się znowu analfabetami.

WYCHODZENIE NA CZŁOWIEKA

Moja rodzinna wieś, jedna z 19 tworzących gminę, odesłała do szkół średnich i zawodowych ponad 120 osób młodzieży w ciągu ostatnich czterech lat. Na innych wioskach sytuacja wygląda podobnie.

Największym powodzeniem cieszą się szkoły zawodowe. 65 proc. młodzieży z naszej gminy uczy się w szkole przemysłowej i średniej rolniczej, stanowiącej dumę mieszkańców gminy. Zachwyt młodzieży do życia technicznego ma swoje głębokie uzasadnienie społeczne. Zaczęło się od tego, że jeden z drobnych chłopów otrzymał pracę w Gdańsku, gdzie pomagał budować sławne rudogłowce. Po jakimś czasie ściągnął nad morze całą liczną rodzinę, której mógł zapewnić nie tylko dach nad głową, ale i pracę. Ojciec gospodarz na 2-hektarowej ziemi piaszczystej naprzemian i podmokłej, chętnie zrezygnował ze „swojego”. I kiedy w ślad za nim podążały budować okręty 6-ciu innych, opinia społeczna gminy została przełamana. Uznano powszechnie, że robotnik reprezentuje określony zawód, który zapewnia tym lepsze warunki życia, im większe zdobywa się kwalifikacje. Dużą rolę spełniały tu także listy naszej młodzieży z fabryk w dalekich miastach. Czytane są wieczorami nieraz po kilka razy. Pisze je czterech młodych chłopów z drobnych gospodarstw. Są to dziś technicy budowlani. Z ich listów odczytują chłopów wizję nowej Warszawy, wizję przyszłych wsi. Dwa młodych elektryków pisze meldunki z akcji elektryfikowania wsi.

Chłop z naszej gminy patrzy z coraz większą dumą i ufnością na młodzież. Wyjść z piaszczystej parcelki na kwalifikowanego zawodowego technicznie robotnika — to znaczy w naszych stronach — wyjść „na człowieka”.

Ale owo wychodzenie „na człowieka” ma jeszcze inne doniosłe znaczenie. Utrwała w opinii gromad i całej gminy sojusz robotniczo-chłopski. Zyskujący coraz wyższe uznanie społeczne dawny druciarz czy parobek, syn drobniejszego — to przecież dziś kwalifikowany robotnik.

Zapewne dlatego robotniczo-chłopski ruch łączności pomyślnie rozwija się w naszej okolicy.

SOJUSZ Z ROBOTNIKAMI

Pozwólcie mi jednak opowiedzieć od początku. Oprócz „emigracji” do zawodu i szkół zawodowych obserwuje się w ostatnich dwóch latach na terenie gminy ruch przeciwny. Niektórzy z naszych chłopów wracają. Można spotkać młodzież po średniej szkole w Zarządzie Gminnym i Gminnej Radzie Narodowej, spółdzielni samopomocowej, na poczcie. Czterech spośród niej objęło funkcję nauczyciela w szkole podstawowej albo w średniej szkole rolniczej, skupiającej 30% ogółu uczącej się na naszym terenie młodzieży. Szkoła ta stanowi główny ośrodek życia społeczno-gospodarczego i kulturalnego okolicy.

Spiritus movens stanowi Koło Związku Młodzieży Polskiej. Członkami są uczniowie

szkół, młodzież okoliczna, nierzadko nawet młodzi gospodarze. ZMP-owcy prowadzą wzorową spółdzielnię uprawy warzyw i roślin okopowych. Chłopi jak chłop — początkowo kręcił z niedowierzaniem głowami. Odstraszała ich poza tym reakcyjna propaganda przedstawiająca w najgorszym świetle wszelką zespołową pracę w rolnictwie. Nie wytrzymali jednak, żeby nie zobaczyć, co się na terenie szkoły dzieje. Wyższe formy produkcji rolnej prezentowane przez wychowanków szkoły rolniczej są obecnie uważane przez chłopów obserwowane. Młodzi ZMP-owcy mają nadzieję, że już w tym roku zdołają wspólnie z kołami Z. S. Ch. i agronomem gminnym utworzyć pierwsze grupy produkcyjne dla poszczególnych działów produkcji rolnej.

Prace kulturalne naszej młodzieży to specjalny rozdział. Przy szkole powstał zespół artystyczny. Występy zespołu objęły zrazu tylko gminę, a później cały powiat radomszczański. Oprócz kulturalno-oświatowego postawiono tu sobie równocześnie inne zadanie, a mianowicie pogłębienie sojuszu chłopsko-robotniczego.

Kilka miesięcy temu pojechali ZMP-owcy z naszej gminy do Łodzi, gdzie dali pełny

Jan Bicki

JESZCZE O CZYTELNICTWIE WIEJSKIM

W nr 27 tygodnika społeczno-literackiego „Więś” umieszczone były moje spostrzeżenia na temat przedstawień amatorskich na wsi. Dziś chcę omówić sprawę czytelnictwa na wsi.

Piszę to, co spostrzegam w mojej okolicy. Słyszysz się i to nawet bardzo często przez radio, z prasy, że czytelnictwo wiejskie szybko postępuje naprzód.

Tak jest. Czytelnictwo rozwija się — ale jeszcze nie wszędzie i niejednako. Na rozwój czytelnictwa składa się dużo przyczyn.

Większość młodzieży na wsi (nie mówiąc już o starszych), mało jeszcze czyta, czytają tylko jednostki i zdarza się, że czyta się książki mało lub całkowicie bezwartościowe. Często popularnością cieszy się książka, której nie można nazwać inaczej, jak zwykłą bezwartościową szmatą.

Takie książki powinno się z miejsca rzucić w piec i uciekać nawet od dymu, bo dym ten zatrzuwa powietrze. Nasza młodzież, przeważnie zaś dziewczęta, rozkłada się nad jakąś tam „miłośnią” upstrzoną fantazjami „bohaterkami” epizodami i przeżyciami jakiejś damy szlacheckiej urodzonej, którą według słów pisarki przedwojennej „prześladowało nieszczęśliwe fatum”. Te książki przywoływały najczęściej dziewczęta służące w mieście.

Dziś powinno się z całą stanowczością wypowiadać przeciwko takim książkom.

W szeregu okolicznych wsi dzieje się z czytelnictwem podobnie. Młodzież wiejska po wypożyczeniu skądś takich książek jak „Trędowata”, „Ordynat Michorowski” — Mniszkówny, oraz „Gdzie jest Ewa”, „Duże Kobiety” niemieckiej pisarki Mahlerowej i jeszcze

Eugenia Mądrowa

Magiczne myślenie psychologa

Z okazji przeglądania katalogu jednej z bibliotek miejskich na terenie województwa łódzkiego wpadła mi do ręki „Psychologia dziecka wiejskiego na tle ogólnej psychologii rozwoju dzieci i młodzieży” dr T. Klimowicza.

Autor, kierownik pracowni psychofizjologii pracy i poradnictwa zawodowego Państwowego Instytutu Higieny Psychicznej, jakkolwiek za prof. Chałasińskim przyznaje, że „najważniejsze cechy psychiki czy natury ludzkiej chłop posiada wspólnie z całym gatunkiem ludzkim” — to jednak wnosi, jakże można wysnuć z wielu sformułowań książki niedwuznacznie wskazują na to, że te cechy natury chłopiejskiej, które odróżniają chłopów od mieszkańców miast są te same dla wszystkich bez różnicy chłopów i że jest wiele elementów w środowisku wiejskim, których nie tylko nie należy usuwać, ale wprost przeciwnie — pielegnować je, aby nie zginęły pod naporem kultury i cywilizacji miejskiej.

Posłuchajmy:

„Każde dziecko — powiada np. H. Fuchs — niezależnie od tego, z jakiego środowiska pochodzi, znajduje na wsi otoczenie, które mu najbardziej odpowiada. Z tego względu każde dziecko wiejskie ma ogromną przewagę nad dzieckiem miejskim”.

„Dziecko wiejskie — pisze dalej tenże autor — rośnie w środowisku, które najbardziej harmonizuje ze strukturą psychiczną dzieciństwa”.

A dr T. Klimowicz w wyjaśnieniu dodaje: „Autor chce przez to podkreślić spokój panujący w środowisku wiejskim, brak nadmiaru silnych wrażeń i względna prostota stylu życiowego wsi”. Uwaga to tak rozbrajająca, że chciałoby się autora wprost zapytać, czy nie można by tak wszystkich dzieci z miast spędzić na wieś, oderwać od krzykliwego, ruchliwego życia miejskiego. Odsunąć dziecko miejskie od wpływu cywilizacji, techniki miejskiej, od radia, kina. Niech na łonie matki przyrody w spokoju ducha i prostocie ugania się za bydlęciem po pastwisku. Wszak głównym zajęciem dziecka wiejskiego, jak przyznaje autor „Psychologii dziecka wiejskiego”, jest pasanie: najpierw gęsi i świń, potem krów i wreszcie koni. To otoczenie zdaniem autora pomnożone przez uciążliwą

wieczór świetlicowy dla robotników. Występ się udał, robotnicy zadeklarowali ze swej strony występy i oto rozpoczął się trwały ruch łączności naszych chłopów z łódzkimi robotnikami.

Robotnicy wystąpili z bogatym programem artystycznym. Przygotowali dla naszych chłopów ponadto inne niespodzianki. Wyreperowali mianowicie maszyny rolnicze, nawet takie, na które gospodarze machali już ręką, objęli opieką nad ośrodkiem maszynowym i nad szkołą rolniczą, pomogli przy założeniu spółdzielni.

Wysoka sprawność techniczna robotników wzbudziła szczerą podziw wśród mieszkańców gminy. Autorytet młodzieży pracującej w fabrykach, elektromonterów i budowniczych znacznie wzrósł. Chłopi nie bez dumy odczytywali listy robotników z fabryk.

Rezultat społeczny zapoczątkowanego ruchu łączności jest dość duży. W pierwszych dniach, zaraz po odjeździe robotników nastąpił okres zbiorowych refleksji. Chłopi zastanawiali się nad swoją techniką i organizacją produkcji.

Kiedy kilka tygodni temu przyszło zaproszenie do Łodzi, mimo fatalnej pogody znaczna liczba chłopów pojechała w gościnę do robotników. Obejrzel tu szereg fabryk. Wyz-

sze formy organizacji i technika produkcji pogłębiły ich refleksje. Młodzi ZMP-owcy wraz z grupą nauczycieli bardzo na to liczą, że w atmosferze stałego ruchu łączności będą mogli uruchomić poszczególne grupy uprawowe na terenie gminy, myślą o spółdzielni produkcyjnej.

Chciałbym jak najszybciej o zrealizowaniu tych planów napisać.

UWAGI

Powoli, lecz stale wzrasta społeczny autorytet młodzieży w naszej gminie. Ale równocześnie wzrasta zaufanie do ustroju, bo przecież młodzież naszą kształci nowy ustrój i przysposabia do działania. Waga społeczna bogaczy, dawnych „urzędników” sanacyjnych, eksoficialistów dworskich — całego lamusa wiejskiej burżuazji, równocześnie maleje. Nie piszę „radosnego” artykułu. Rzeczywistość społeczna nie jest z plasteliny. Stawia poważne opory. Wróg klasowy bez walki nie ustępuje. Ustępuje w walce klasowej. U nas prowadzi ją młodzież z całym zapałem i poświęceniem. W walce tej ma potężnego sojusznika — klasę robotniczą, której oddziaływanie na naszą gminę staje się coraz wyraźniej decydujące.

ście nie wszyscy) sam nie rozumie, jakie zadanie miał jego referat spełnić.

Na zebraniach kół ZSCh omawia się tylko sprawy gospodarcze i zdarza się i to często, że o czytelnictwie nie się nie mówi.

A przecież zdaje się, że samopomocowcy powinni znać oświadczenie Prezesa Zarz. Zw. Samopomocy Chłopskiej, kol. Stefana Ignara, że każdy samopomocowiec poza sprawami gospodarczymi powinien zająć się sprawami kulturalno-oświatowymi na wsi. Tak, i to jest racja. Samopomoc objęła przecież i sektor kulturalny na wsi.

Samopomocowcy, a zwłaszcza samopomocowcy aktywni, zarządy gminne czy powiatowe, powinni zająć się nie tylko sprawami gospodarczymi, ale i kulturą na wsi.

Wtedy na pewno mniej — i to dużo mniej — by było niesamowitych wierceń, zabobonów, mniej by było różnych plotek o znachorstwie itd.

Trzeba na wykonanie olbrzymiego zadania organizacji czytelnictwa na wsi puścić w teren setki i tysiące doświadczonych działaczy, znających dobrze zawartość bibliotek gminnych. W gminie nie można mówić o czytelnictwie w ogóle. Tam trzeba, opierając się o książki dostępne czytelnikom, znajdujące się w zasięgu czytelnika, pokazać ich atrakcyjność. Udowodnić, że przeczytanie ich będzie miało pozytywne znaczenie dla chłopów.

Oczywiście trzeba uruchomić wielką akcję szkolenia. Na razie można wykorzystywać młodzież ze szkół średnich i pisarzy, którzy mogliby przecież silniej związać się z czytelnikiem niż to czynią dotąd.

prace fizyczną najczęściej nad siły jest znacząco odpowiedniejsze niż pozbawione tlenku i innych przyjemności życie dziecka miejskiego. Nawet atmosfera „surowości i pewnej oziębłości uczuciowej, na którą skarżą się częstokroć dzieci i młodzież” wiejska jest z gatunku tych, które dają „ogromną przewagę” dziecku wiejskiemu.

W innym miejscu autor „Psychologii” powołując się na świadectwo prof. Chałasińskiego, rozważającego kwestię konserwatywności chłopiejskiej, pisze:

„Z tego względu chłop jest niejako predestynowany na dobrego obywatela państwa demokratycznego rozwijającego się drogą ewolucji z pieczołowitym i pełnym pietyzmu zachowaniem tych tradycyjnych instytucji i metod działania (podkreślenie moje—E.M.) które się ostały w toku wiekowego rozwoju jako najgłębsze wytwory i przejawy ducha narodowego”.

Wniosek, jaki czytelnik musi wysnuć z tego rodzaju poglądów, może być tylko jeden: precz z mechanizacją rolnictwa, precz ze spółdzielniami produkcyjnymi, bo to nie ewolucyjne, ale rewolucyjne instytucje i metody działania, które w życie wnoszą niezdrowy ferment, który H. M. Burton cytowany przez dr Klimowicza określa mianem „urbanistycznej cywilizacji”. Te nowe, rewolucyjne instytucje i metody działania bowiem tak całkowicie zmieniają oblicze tradycyjnej wsi, że nie zostawiają nawet najbardziej niewinnych jej elementów.

Pogląd swój wyraził autor tak jasno i bez niedomówień, że nie dziwimy się już wcale, dlaczego jeden z rozdziałów swej książki rozpoczyna cytatem z J. J. Rousseau: „Prawdziwym człowiekiem jest chłop”.

Jeszcze ciekawsza jest argumentacja uzasadniająca sobkostwo, dumę i wybujały indywidualizm chłopów. Miał potępić te cechy i wykazać historycznie i socjologicznie ich przyczynę ograniczając się do takiego werbalnego stwierdzenia: „Ziemla stanowi jedyny warsztat pracy, który będąc niezniszczalnym, bo w swym bycie od człowieka niezależnym, daje swemu posiadaczowi poczucie niezależności, siły i spokoju”.

Czyż nie klasyczny przykład magicznego sposobu myślenia? I skąd to przekonanie, że

chłop jest pewny siebie? Czy dlatego że nie zna dnia ani godziny, w której grad zniszczy mu zasiewy w polu, czy dlatego, że pomór na bydło każdej chwili może zniszczyć mu inwentarz żywy? Wszakże to nic innego jak tylko ta niepewność jutra, nieznajomość i nieumiejętność opanowania sił przyrody była i jest jeszcze w znacznej mierze nadal przyczyną magiczno-religijnego sposobu myślenia chłopów.

Niewątpliwie można mówić o chłopiejskiej pewności siebie, ale tylko i wyłącznie w stosunku do najbogatszej grupy chłopów. Pewność siebie nie wynika bowiem z gospodarczego, ale z politycznego i społecznego położenia na roli, ale z gospodarzenia na kilku hektarach, dla kula nieurodzaj nie równa się głodowi na przednówku, owszem dzięki posiadanym zapasom nieurodzaj mógł być nieraz okazją do odbicia sobie na cenie. Tylko ta kula, stosunkowo nieliczna grupa wsi, może mieć jakieś kontakty ideologiczne i cechy wspólne z ziemianstwem. Tylko chłop bogaty wiodący do niedawna prym w społecznym życiu wsi czuł się panem u siebie, gospodarzem, włodarzem. Tylko on miał poczucie „niezależności, suwerenności i siły”.

Średnio, i małorolny chłop czuł nie tylko zależność od sił przyrody, ale i od warstw społecznych i gospodarczo silniejszych. Mówię o chłopstwie jako o niezróżnicowanej grupie społecznej jest równie poważnym błędem jak kwestionować dziecku wiejskiemu prawo do tych rozrywek, tych urządzeń technicznych i instytucji kulturalnych, które są dziś udziałem znacznej części młodzieży w miastach.

Trzeba dziś zdać sobie każdemu sprawę z tego, że droga do dobrobytu wsi to nie droga tradycyjizmu, ale droga mechanizacji rolnictwa, to droga rewolucyjnych zmian metod gospodarowania ziemią, droga powolnej, ale stałej i konsekwentnej urbanizacji całego życia na wsi.

Publikowanie i rozpowszechnianie choćby najbardziej rzekomo naukowych książek — które w ten czy inny sposób nawiązują do starych, nie wytrzymujących krytyki haseł i poglądów nie jest niczym innym, jak wspomaganie tych wstecznych sił w narodzie, które boją się jak ognia zmiany dotychczasowego porządku na wsi.

O zabawach wiejskich

Lato dla pracującej wsi jest długim szeregiem twardych dni. Chłopi po całonocnej pracy chętnie szukają w niedzielę odpoczynku. Niedziele spędzają w różny sposób. Poruszają w związku z tym tylko jedną sprawę: zabaw w zielonym karnawale, które w lecie co niedzielę i święta są organizowane przez różne instytucje po wsiach w celach zarobkowych. Aż rozpacz człowieka ogarnia, kiedy patrzy, co się dzieje na tych zabawach.

Nieodłączną rzeczą przy zabawach są bufety... zaopatrzone w napoje alkoholowe. Uraczeni „orzeźwiający” napojem młodzieńcy stają się panami zabawy. Wszędzie ich słychać i widać.

Takie „zabawy” spotyka się niestety jeszcze dość często, ale dalek tak być nie może. Sprawą tą powinny w pierwszym rzędzie zająć się koła ZMP. ZMP — organizacja ideowo-wychowawcza musi dbać o dobro swych członków oraz młodzieży nieorganizowanej. Alkohol, ten wróg postępu a przyjaciel ciemnoty i zafobania, musi zniknąć z bufetów.

Każde koło ZMP powinno radzić, na zebraniach, w jaki sposób podjąć walkę z wódką. Sposobów jest wiele. Miejsce bufetów powinny zająć przedstawienia i loterie fantowe. Praca to nie łatwa, ale możliwa do wykonania.

Zetempowiec z Łódzkiego

Kapitalizm i jego kultura

„Dookoła samochodu ciężarowego, z którego wyrzucano śmiecie i inne odpadki, zbierało się około 35 mężczyzn, kobiet i dzieci. Gdy tylko samochód odjechał, wszyscy oni zaczęli grzebać w śmietniku palcami, a niektórzy nawet rękoma, chwytając resztki żywności i jarzyn”. Jest to fragment książki Jerome’a Davisa, postępowego profesora uniwersytetu w Yale — „Kapitalizm i jego kultura”.

Davis pisze, że trzy rodziny: Dupontów, Melonów i Rockefellerów dysponują kapitałem akcyjnym sięgającym 1.400.000.000 dolarów. Magnaci finansowi trzymają karety i specjalnych lokai dla ulubionych małżonk, kupują lotniska, teatralne wartości 75 tys. dolarów, wstawiają sobie do zębów brylanty, podczas gdy 13,5 miliona przeciętnych rodzin amerykańskich wydało w r. 1947 o 11 milionów dol. więcej niż wyniosły ich zarobki, to znaczy wyzerpało oszczędności lub popadło w dług. Rockefeller zbudował dla swych dzieci domek gry wartości 500 tys. dolarów. Równocześnie 450 tys. rodzin w Nowym Yorku mieszka w domach urągających najelementarniejszym potrzebom higieny. W roku 1948 zyski amerykańskich kapitalistów osiągnęły niebywałą w historii wysokość — 20,8 miliarda dol. Ale równocześnie — podaje Davis — 25 milionów Amerykan cierpi chronicznie na jakąś chorobę, 85 proc. dzieci choruje na anemię 325.000 osób umiera rocznie z powodu braku odpowiedniej pomocy lekarskiej.

Specjalną część książki poświęca autor tzw. swobodom amerykańskim. Jego los najlepiej ilustruje owe „swobody”. Profesor Davis został zmuszony do opuszczenia katedry jako podejrzany o działalność antyamerykańską.

P. P.

Tańcowały dwa Michały

Zachodnio-europejskie sfery przemysłowe niepokoją się zaostrzającymi się coraz bardziej sprzecznymi interesami angielskich i amerykańskich. Niepokój ten ujawnia się nawet w środowiskach przychylnych dotąd wszelkim planom „pomocy” „postępowej” Ameryki dla „zafobanej” Europy.

Organ belgijskich przemysłowców „La Me-tropole”, analizując plany prezydenta Trumana dotyczące pomocy amerykańskiej dla „krajów gospodarczo zafobanych”, pisze:

„Po obnażeniu planu Trumana z wielkich ogólnoludzkich ideałów jasne się staje, że program pomocy dla krajów zafobanych ma jedynie jedną rzecz na względzie: uratowanie gospodarki amerykańskiej przed nadciągającym kryzysem... Niechaj prezydent USA nie stara się wprowadzać opinii europejskiej w błąd... Europa od dawna przejrzała grę USA i nie dopuści, aby jej kosztem Amerykanie ratowali się przed kryzysem...”

Patrzcie państwo: Europa przejrzała... Wcale pięknie i postępowo jak na przemysłowców... Nie zanosz się jednak na to, aby duży Michał amerykański dobro wolnie ustąpił pola mniejszemu angielskiemu czy belgijskiemu Michałkom. Tak już jest system kapitalistyczny... Dotąd będą tańcować, aż obydwaj ustają.

Wilcze oblicze

Plan Marshalla początkowo wabił Europę syrenimi głosami — rzucał obietnice pomocy w odbudowie zniszczonych wojną krajów, projektował ogólne zestrojenie produkcji, wszechstronne uregulowanie stosunków handlowych, miał jednym słowem sterować Europą do dobrobytu i szczęśliwości. Wiemy, czym się okazał w praktyce. Nie tylko narzędziem ostrego podporządkowania krajów marshallowskich interesom USA, ale jak widzimy ostatnio, stał się dla Stanów Zjednoczonych planem własnej obrony przed kryzysem i to kosztem krajów, którym miał udzielić pomocy.

Pierwsza faza planu Marshalla przyniosła monopolistom amerykańskim kolosalne zyski — Europie Zachodniej spadek produkcji, wzrost bezrobocia, obniżenie stopy życiowej. Interesujące, że właśnie ten okres pomocnik sekretarza stanu USA do spraw gospo-

FAKTY i ZDANIA

darczych Therp nazywa „miodowym miesiącem w powojennych międzynarodowych stosunkach gospodarczych”. Uważa on, że „okres ten dobiega obecnie końca, a przyszłość przyniesie o wiele surowsze próby zdolności i gotowości krajów do współpracy między sobą w dziedzinie gospodarczej”. Może jedną z tych „surowszych prób” dla krajów zachodnio-europejskich będzie memorandum, jakie Achesonowi i Trumanowi złożyli w sprawie „równowagi politycznej w Europie” radca Departamentu Stanu USA George Cunnana i szef rządu do spraw Niemiec i Austrii przy Departamencie Stanu Robert Murphy. Według projektów tych amerykańskich „mężów stanu” należy przekształcić zachodnie strefy Niemiec w ekonomiczny i polityczny ośrodek Europy zachodniej, stworzyć z nich jednym słowem „kierowniczą siłę Europy”, ponadto Niemcom zachodnim powinna przyspaść lwia część funduszy z kredytów marshallowskich. Rzeczywiście kończy się śpiew amerykańskich syren, plan Marshalla odśpiewa swoje oblicze, staje się bezwystydnym narzędziem polityki imperialistycznej trustów i monopolu amerykańskich.

K.

Interes idzie!

Berliński „Taegliche Rundschau” przynosi wiadomość o oświadczeniu amerykańskich towarzystw lotniczych, że zaskarżą one do sądu... amerykańskie i brytyjskie zarządy wojskowe w Niemczech, gdyby przewoży na moście powietrznym na skutek ostatnich umów międzynarodowych zostały wstrzymane. Oświadczenie towarzystw lotniczych przypomina „że kontrakt zawarty między zarządami wojskowymi a towarzystwami opiewa na cały rok 1949.”

Kontrakt zaś, jak stwierdza „Taegliche Rundschau”, daje „British European Air Ways” i innym towarzystwom lotniczym na czysto 200 tysięcy funtów szterlingów miesięcznie. 200 tysięcy! I to nagle ma się u-rwać!

Władze amerykańskie w obawie przed... procesem mostu utrzymują. Żeby jednak już wszystko było w porządku, wszystkie koszty utrzymania mostu przerzucone zostały na płatników niemieckich. „Udział” niemiecki w tej imprezie ma wynosić 60 milionów marek miesięcznie. Zyski jak dotychczas zgarniają amerykańscy i angielscy akcjonariusze. I chwalić Boga — interes idzie!

Z.

Szpiegowskie szczyty

Do Iranu przybył niedawno w charakterze „alpinisty” niejaki William Douglas. Otóż Douglas alpinista wspina się rzeczywiście na wysokie szczyty. Odwiedził irańskiego premiera, odwiedził ministra spraw zagranicznych. A po tych wizytach udał się na wy-cieczkę w tereny — wg relacji prasy irańskiej — bardzo przydatne do budowy baz wojennych. Wysokie rzeczywiście szczyty.

Jak podają irańskie gazety — Douglas ma za zadanie sporządzenie raportu o sytuacji w Iranie, a w szczególności w armii irańskiej.

R.

Chwyt bankrutów

Pod naporem chińskiej Armii Ludowej gwałtownie kurczy się „stan posiadania”

R.

Czang-Kai-Szeka i jego reakcyjnych satelitów, kończy się dla nich kupczenie własnym krajem. Są już w przededniu ostatecznej klęski, ale jeszcze ich pomysłowość wysila się na to, jaki tu ochlap dla siebie wyrwać, jak „zaczarować” swoich mocodawców z Wall-Street? No i wymyślił. Chcą bronić południowych Indochin. USA w obronie anglosaskich interesów powinny dać na to pieniądze, ale nie za darmo — politycy kuomintangowskich Chin ogłaszają przy okazji likwidacyjną wyprzedaż, ich ostatnim artykułem jest tym razem... Formoza. Chętnie odstąpią oni Stanom Zjednoczonym wyspę za półtora miliona dolarów.

Kto wie, czy nie doszłoby nawet do transakcji, gdyby ministrem obrony narodowej USA był nadal James Forrestal. Ale jak wiadomo, jego idea totalnego uporządkowania anglosaskich interesów nie wyszła mu na zdrowie, bo zaprowadziła go do szpitala dla obłąkanych. Gdy zabrakło Forrestala, trudno będzie znaleźć drugiego polityka, który by pozytywnie rozpatrzył ostatnią z ostatnich ofertę Czang-Kai-Szeka. Tak że nie pomoże i Formoza. Dla „zgranych” nie znajdzie się miejsca na Wall-Street, która chętnie notuje zyski, a brzydzi się stratami.

K. B.

Też pomoc

Stany Zjednoczone — jak powszechnie wiadomo — udzielają „niewielkiej” „pomocy” monarcho-faszystowskiej Grecji. Samoloty bojowe, armaty, karabiny maszynowe, bomby, gazy trujące i wszelkiego rodzaju sprzęt wojenny — to pomoc widocznie zbyt mała, bo Departament Stanu wynalazł nową „pomoc”. Otóż Stany Zjednoczone postanowiły sprowadzić grupę wyższych oficerów policji monarcho-faszystowskiej, w tym celu, by ich przeszkolili w metodach policji amerykańskiej. „Studia” te odbędą policjanci greccy w ramach marshallowskiego planu „pomocy”.

„Pomocy” oczywiście, tylko pomocy, która pomnaża nędzę, głód i śmiertelność. To się nazywa niedźwiedzia przysługa.

S.

Konferencja zdrojów

Ostatnio, jeszcze przed chorobą minister Cripps odbył dłuższą konferencję z labourystowskimi przywódcami angielskich trade-unionów. Jak donosi prasa brytyjska — rozmowa toczyła się o nadmierne wzrosty zysków monopolu i nadmiernych podatków, ciążyących na klasie robotniczej. Na temat tej konferencji pisał konserwatywny „Observer”, że „rzecz nie w tym, iż członkowie Rady Generalnej (Trade Unionów) nie są zgodni z postępowaniem albo oświadczeniem ministra finansów, ale większość z nich najwidoczniej uważa, że nie będą mogli przetrwać na swojej słuszności szeregowych członków ruchu zawodowego. Oni twierdzą, że popieranie polityki rządu w jej poprzedniej postaci doprowadzi tylko do utraty przez nich autorytetu wśród członków związków zawodowych”.

Nikt rzeczywiście nie wątpi, że zdradziecy przywódcy brytyjskich związków zawodowych wszelkimi siłami popierają Attlee i Bevin. A masy robotnicze — tego poparcia coraz bardziej odmawiają.

R.

Białe niewolnictwo

Pozostającym obecnie na terenach Niemiec Polakom obiecuje się złote góry w Ameryce. Chodzą bowiem o to, aby nie wracali do odbudowującej się ojczyzny. Wielu Polaków, nierzadko dawnych oficerów i żołnierzy, opuszcza z ulgą obozy w Niemczech i wędruje za ocean. A tam?

„Rodziny te pomieszczono w szopach bez żadnej kanalizacji, bez bieżącej wody nadającej się do picia. Wodę mieli tylko deszczową, która gromadziła się w zależności od opadów w kolosalnych zbiornikach stojących na podwórzu” — pisze „Dziennik Związkowy” wychodzący na terenie USA w języku polskim.

Rzecz prosta, haniebnie oszukani chcieli porzucić pracę. A wtedy: „Właściciele plantacji, na której pracowali, straszili ich, że gdyby pracę porzucili, z powrotem odesłani zostaną do obozów w Niemczech”.

Oto sytuacja emigrantów polskich z lat ostatniej wojny. Zaczyna się od wielkich słów, kończy na zwykłym szantażu i wyzysku. Pewien oficer, uczestnik powstania warszawskiego, skarży się w liście do „Dziennika dla Wszystkich”, któremu zresztą zawdzięcza „posadę” robotnika rolnego, że uciążliwe kłopoty, odrzucenie gnoju, dojenie krów wyczerpało już zupełnie jego siły.

„Pamiętać należy, że farmer zaangażował pana do pracy nie z żadnych względów humanitarnych lecz po prostu dlatego, ażeby pańską pracę wykorzystać” — pisze redakcja w odpowiedzi.

Maszką dla tej całej perfidnej roboty jest rzekomy humanitaryzm. Celem dostarczenie Stanom Zjednoczonym taniego robotnika z Europy — białego niewolnika.

J. S.

Biblioteki na wieś i do fabryk

Zarząd Główny ZMP przystąpił ostatnio do szerszej akcji zaopatrywania robotniczych i wiejskich kół ZMP w podręczne biblioteczki. Akcja ważna, jeśli się zważy niedostateczną jeszcze sieć bibliotek publicznych w terenie oraz nieodpowiedni często dobór książek w istniejących bibliotekach organizacyjnych i publicznych.

Biblioteczka podręczna Koła Wiejskiego ZMP (jak i robotniczego) jest tak pomyślana, aby stanowiła niezbędną pomoc w rozumieniu zachodzących przemian społecznych i kulturalnych w Polsce Ludowej i świecie. Na biblioteczki składają się wybrane tytuły z literatury społeczno-politycznej (Lenin, Stalin, Bierut, Minc, Zambrowski i in.), popularno-naukowej, literatury zawodowej, literatury pięknej (Bek, Gorki, Niekrasow, Piłkowski, Pujmanowa, Rudnicki, Sempołowska, Awdziejew), literatury świetlicowo-artystycznej, biograficznej.

Niezależnie od tej akcji Zarząd Główny przeznaczył 1.000 kompletów nagród książkowych dla tych kół, które wykażą się:

1. najlepszymi osiągnięciami w produkcji,
2. najlepszymi osiągnięciami w przeprowadzaniu akcji ogólnooorganizacyjnej,
3. najbardziej sprawnym i owocnym użytkowaniem „biblioteczki podręcznej koła”.

Cena biblioteczki koła wiejskiego wynosi 4.345 zł., przy czym koło wpłaca 2.000, resztę zaś ZG ZMP.

Czy akcja biblioteczna Zarządu Głównego ZMP nie jest jednym z przejawów przemian kulturalnych zachodzących dziś w Polsce Ludowej?

L.

Jak się na wsi buduje?

Sila społeczna Polski Ludowej jest dostatecznie wielka, by się wyrazić w architekturze i rzeczywiście wyraża się ona w wielu wsiach. Są jednak wciąż jeszcze wsie takie, gdzie jest inaczej, i właśnie o nich chcę powiedzieć kilka słów. Widzę, że buduje się także w tych wsiach, które nie uległy zniszczeniu wojennym. Budują chłopi, biedni i bogaci, w zakresie własnej inicjatywy. Są nawet wsie, gdzie pęd do budowania przybiera charakter masowy. Miałoby się ochotę ocenić dodatnio te wysiłki, niestety jednak wytwory tego indywidualnego budownictwa zmuszają do zajęcia innej postawy. Tandetne wykonanie, lekceważenie wskazań sanitarnych, racjonalnych planów zabudowania, wszelkich norm estetycznych — oto charakterystyka takiego budownictwa. Obserwujemy przez mnie budynki murowane są za-przeczeniem wszelkiego postępu. Powstają one całkowicie poza tymi wzorami, o których się pisze w prasie wiejskiej, a także poza wzorami nowoczesnego budownictwa wiejskiego tu i ówdzie już zrealizowanymi.

Można by się odnosić tolerancyjnie do ewych anachronizmów architektonicznych jako do wyrazu okresu przejściowego, w którym dawnosć zmaga się z nowością, gdyby nie fakt, że te epigoniczne twory przedłużają anachroniczny stan budownictwa wiejskiego o lat kilkadziesiąt. Z tego to właśnie względu z największym niepokojem patrzę na stopy cegieł piętrzące się w licznych zagrodach wiejskich, obawiam się bowiem, że powstanie z nich coś równie epigonicznego, jak to, co zbudowali sąsiedzi.

A przecież także w tych wsiach, w których buduje się owe pomniki wstecznicstwa (nie-rzecz z zaznaczonymi datami r. 1947, r. 1949) istnieje zorganizowana siła społeczna, której zadaniem jest zatroszczyć się o budownictwo wiejskie, nie dopuszczać do utrwalania się epigonizmów, natomiast pilnować postępu, a wobec tego przedłużanie „idiotyzmu życia wiejskiego” nie wydaje się rzeczą konieczną.

Jola Wachowska

ZMIANA ADRESU REDAKCJI i ADMINISTRACJI

Zawiadamy, że od 1 sierpnia b. r. redakcja i administracja tyg. „WIEŚ” mieścić się będzie w Warszawie. Wszelką korespondencję do redakcji i administracji prosimy kierować na adres:

Warszawa, Starynkiewicza 7

Zmienione też zostaje konto P. K. O.

Należność za prenumeratę (przypominamy o uregulowaniu zaległej prenumeraty!) prosimy wpłacać na konto

P. K. O. Warszawa I — 6841

z zaznaczeniem: „za tyg. „WIEŚ”

REDAKCJA i ADMINISTRACJA

Redaktor naczelny — JAN ALEKSANDER KRÓL.

Redaguje Komitet.

Adres Redakcji i Administracji: Łódź, ul. Piotrkowska Nr 133, telefon 100-98.

Wydawca: ZARZĄD GŁÓWNY ZWIĄZKU SAMOPOMOCY CHŁOSKIEJ.

REDAKCJA RĘKOPISÓW NIE ZWRACA.

Ogłoszenia przyjmuje Administracja — Łódź, Piotrkowska 133, telefon 100-98.

Warunki prenumeraty:

miesięcznie 80 — zł; kwartalnie 240 — zł; półrocznie 480 — zł; rocznie 960 — zł

Należność za prenumeratę należy wpłacać na konto PKO Warszawa I — 6841

z zaznaczeniem „za tyg. „WIEŚ”.

Drukarnia Nr 4 Sp. Wydawniczo-Oświatowej „Czytelnik” — Łódź, ul. Żwirki 2.

D-04459